Nr. 2. Lwów, Niedziela dnia 9. Stycznia 1876 r. **Rok III.**



TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Wydawca i redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

II.

Jeszcze o nauce języka niemieckiego w szkołach średnich.

I. Godząc się najzupełniej z poprzednio wyrażonemi uwagami o nauce języka niemieckiego w szkołach średnich, dodać musimy słów jeszcze kilka, sądząc — że dyskusja nad tak ważnym, a wszystkich zajmującym przedmiotem, nie może być jak tylko pożądaną.

Jedyną i wyłączną przyczyną, dla której nauka języka niemieckiego do tego stopnia, jakby było potrzeba, nie rozwinęła się dotąd w szkołach średnich, jest.... rząd centralny, czyli ministerstwo, gdyż nie chce mieć nauczycieli do tego przedmiotu specjalnie ukwalifikowanych.

Ktokolwiek bądź poświęca się zawodowi nauczycielskiemu, obok zamiłowania tego zawodu, znajduje niezawodnie inną, więcej nań wpływającą pobudkę tego kroku, a tą jest: chęć zapewnienia sobie bytu. W naszych zwłaszcza stosunkach, nie ma z pewnością nauczyciela w szkołach średnich, któryby ten ciężki urząd z samego tylko piastował amatorstwa. Wynika więc z tego, że nauczyciel chcąc byt sobie zapewnić, składa egzamin nauczycielski dla otrzymania stałej posady, a że posad nauczycieli języka niemieckiego nie ma, zatem nikt nie pomyśli o tem, aby kwalifikować się do tego, czego niema, czyli: za co mu pensji nie zapłacą.

Przedmioty naukowe, z których nauczyciele egzaminy dla otrzymania posady składają, podzielone są na grupy. I tak jest grupa filologiczna, obejmująca języki: łaciński i grecki; grupa matematyczna, z matematyką i naukami przyrodniczemi; wreszcie grupa historyczna, obejmująca historję i geografję. Wolno wprawdzie kandydatowi przy składaniu tych egzaminów, zarazem składać egzamin z języka niemieckiego, w rodzaju egzaminu dodatkowego, ale to „wolno“ żadnego pożytku przynieść nie może, bo na cóż komu męczyć się nad językiem niemieckim, jeżeli n. p. egzamin z samej grupy historycznej. wystarcza do otrzymania posady nauczycielskiej.

Jeżeli zaś znajdują się tacy nauczyciele, którzy to uczynili — toć niepodobieństwem nawet przypuszczać, aby z pożytkiem w przedmiocie tym pracować mogli, skoro się zważy — że w obec dzisiejszego rozwoju nauk, fachowość niezbędną jest dla nauczyciela, a w przedmiotach wręcz sobie przeciwnych, żadną miarą jednakowo dobrym nie można być uczonym i nauczycielem.

Nauczyciel historji i geografji, mimo egzaminu z języka niemieckiego, będzie ten przedmiot po dyletancku traktować zmuszony, jeżeli we właściwym sobie przedmiocie zamiłowany, coraz więcej doskonalić się w nim pragnie.

Młodzież sposobiąca się do zawodu nauczycielskiego, nie dziwna — że kształci się na uniwersytetach w takich przedmiotach, które swemi grupami egzaminacyjnemi objęte, dają jej nadzieję posad nauczycielskich. Obejmując po skończonych studjach tak zwane suplentury, na prawdziwą skazana zostaje torturę, gdy jej dyrektor uczyć języka niemieckiego poleci.

Nie ulega wątpliwości, że matematycy, przyrodnicy, geografowie i t. d. uczą języka niemieckiego, lecz jakąż na to radę znaleść może dyrektor? Ktoś uczyć musi, a że nie ma specjalistów, więc rozdziela się naukę pomiędzy nauczycieli, bez względu na ich kwalifikacje. Rada szkolna zaradzić temu nie może, boć trudno jej zmuszać ludzi, aby się kwalifikowali na nauczycieli niemieckiego języka, skoro *de facto* — rząd ich nie uznaje w szkołach średnich.

Otóż przedewszystkiem powinno być staraniem osób do tego powołanych, czyto delegacji naszej, czyto sterników rządu krajowego, czy sejmu, aby wyjednać u rządu utworzenie posad dla nauczycieli języka niemieckiego, i jak to w poprzednich uwagach wyrażono, aby utworzoną została osobna grupa egzaminacyjna, obejmująca język niemiecki z polskim, lub którym z klasycznych języków.

Dla szkół realnych zaprowadzono już tę, ze wszechmiar korzystną i pożądaną organizację, przed dwoma laty, i dlatego też szkoły realne będą miały, a po części już i mają specjalnych języka niemieckiego nauczycieli; ale gimnazja niestety dotąd jeszcze pominięte.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach

przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(*Ciąg dalszy*).

CZĘŚĆ DRUGA.

Partyzanci.

IV.

Wydawszy kozakom i żandarmom rozkaz, żeby otoczyli pałac i nie wpuszczali nikogo, zasidatel, uzbrojony rewolwerem, sam jeden odważnie wszedł do przedsionka.

W przedsionku nie było nikogo.

— *Podawaj buntowszczyka, hdie buntowszczyk?* — zagrzmiał donośnym głosem, oglądając się dokoła.

Nikt nie odpowiadał na to wezwanie; zasidatel mężnie postąpił naprzód i znalazł się w pierwszym pokoju.

I tutaj nie było nikogo, tylko z po za drzwi do dalszych pokoi prowadzących, wychyliła się głowa kobieca, jakiejś służącej odważniejszej czy ciekawszej od innych.

Iwan Iwanowicz poskoczył ku niej:

— *Hdie buntowszczyk, hawari a nie to ty buntowszczyk perecdietyj!*

Dziewczyna z krzykiem uciekła i zatrzasnęła drzwi za sobą.

Pan Artur tę chwilę dopiero uznał za właściwą do ukazania zasidatelowi swego kamerjunkrowskiego oblicza.

Ubrany był w elegancki szlafrok, miał czapeczkę haftowaną na głowie, widocznie już zamierzał iść na spoczynek i tylko przypadkiem wyjrzał co spowodowało hałas niezwykły.

Zasidatelowi na widok byłego kamerjunkra jakby wspomnienie jednego stakana

dzieńgielówki z pod zapruszonego czuba ubyło.

— *Izwinitie*, pan kamerjunkier — rzekł kłaniając się i opuszczając rękę uzbrojoną rewolwerem, — u mnie jest *donos*, ja muszę zrobić rewizję, wy tu kryjecie buntowszczyka, u was są rewolucyjne bumagi...

Pan Artur, jakby nie uważał za godne siebie odpowiadać na tak bolesny dla jego lojalności zarzut, wzruszył tylko ramionami, i wyjąwszy rękę z szlafroka wyciągnął ją do zasidatela.

Zasidatel z słodkawym uśmiechem ujął prawicę marszałkowskiego syna. Dumnym był widać z zaszczytu, że ją może uścisnąć, a przytem miał podobno jakieś przeczucie, że w niej znajdzie przynajmniej pięćdziesięciorublówkę, gdyż ściskając rękę byłego kamerjunkra robił dwoma palcami charakterystyczne poszukiwanie w zagłębieniu dłoni.

Przeczucie jednakże zawiodło przywykłego do łapówek Moskala, ręka młodego pana Szóstackiego była zupełnie próżna.

Zrobiło to na Iwanie Iwanowiczu takie wrażenie, jakby go kto niespodziewanie oblał zimną wodą, i wspomnienie jeszcze jednego stakana dzieńgielówki z niej wypłoszył. Łapówka byłaby znakiem, że coś jest do znalezienia; brak jej kazał się zasidatelowi obawiać czy rudy Berek nie wyprowadził go w pole, i czy się daremnie nie skompromituje wobec marszałka, mającego bądź co bądź nielada wpływy w guberni.

Złagodniał więc zasidatel i o wiele spuścił z tonu.

— Jeżeli pan masz donos, — rzekł z największym spokojem były kamerjunkier— to pan szukaj...

— To jest... ja... *niczewo*, — jąkał się zasidatel, zapewne z przyzwyczajenia charakterystycznie wyciągając rękę do pana Artura, tak że była obróconą ku górze, cztery palce zgięte cokolwiek, a piąty, wielki, przez uczonych zwany paluchem, i u Iwana Iwanowicz prawdziwy paluch, muskał je w sposób znaczący.

Syn marszałka jednak nie był czułym na ten objaw mimiki palcowej i nie chciał okazać się domyślnym.

Zasidatel trzeźwiał coraz bardziej.

— U mnie jest donos — rzekł — no, jezeli mnie pan kamerjunkier da *czestnoje słowo*, co u was nie ma buntowszczyka i rewolucyjnych *bumag*, to ja pojadę.

Uprzejmość taka niebardzo spodobała się panu Arturowi, gdyż na razie byłaby mu wszystkie szyki popsuła.

— Jeżeli pan, panie zasidatelu, chcesz wszędzie, gdzie cię poślą, poprzestawać na słowie honoru, to możesz być pewny, że oprócz słów honoru nic nigdzie nie wynajdziesz podczas rewizji. Masz pan donos, więc pan szukaj... Cóż ja wiem? może rzeczywiście kto z domowych utrzymuje jakie zakazane stosunki... ja się do niczego nie mięszam. Chodź pan.

To powiedziawszy pan Artur wskazał zasidatelowi dalsze pokoje.

Iwan Iwanowicz poszedł ale był zły. Zły był ale już nie na Berka, tylko na siebie i na dzieńgielówkę. Oczywiście spóźnił się, buntowczyk uszedł, pan Artur był taki spokojny. Żyd przecież nie poważyłby się zadrwić z carskiego czynownika i jeżeli denuncjował, to musiał mieć jakąś podstawę.

Tak się ta sprawa przedstawiała trzeźwemu już prawie zupełnie zasidatelowi.

W jednym z następnych pokoi, które przeszli, a które zasidatel prawie dla formy tylko lustrował, zastawiony był stół jakby do wieczerzy na kilka osób. Widok pełnych butelek był fatalną pokusą dla Iwana Iwanowicza. Zbliżył się do stołu, wziął jednę z nich w rękę, podniósł do światła i przyglądał.

— Daję panu *czestnoje słowo*, panie zasidatelu, — rzekł śmiejąc się ex-kamerjunkier — że tam nie ma ani buutowszczyka ani zakazanych papierów.

Iwan Iwanowicz mało nie podskoczył z gniewu. Był już najmocniej przekonany że rewizja na nic się nie zda i ani łapówki ani nawnt poczęstnego nie przyniesie, a kto wie, w końcu spowodować może jaki *wgyawor* naczalstwa za zbyteczną gorliwość w służbie.

Postawił butelkę nic nie mówiąc i poszedł dalej nachmurzony.

— *Czart pabieri!* — mówił do siebie, jeżeli tutaj nic nie znajdę, tak wracam do Mortka i biorę go pod areszt za rewolucyjne *kartinki*.

Czytelnicy przypominają sobie patrjotyczne obrazy, któremi były zawieszone ściany jednej izby w karczmie w Rozdrożu. Nie uszły one oku zasidatela i stanowić miały jego rewanż na przypadek gdyby mu się nie udał połów w Łaszczyńcach.

Należy się spodziewać, że w takim wypadku nietylko te poczciwe obrazki, ale i wszystka dzieńgielówka Mortka dostałaby się pod areszt Iwana Iwanowicza.

Los jednak inaczej postanowił.

W drugim czy trzecim pokoju od owego zastawionego butelkami, które się okazały tak dla zasidatela niegościnne, zaczynał się apartament pana Artura i zasidatelowi wpadło w oczy biurko, które najdokładniej opisał rudy Berek. Czynownik spojrzał na nie tak, jak się patrzy na ostatni ratunek w kłopocie. Liczba półek i szufladeczek zgadzała się z raportem Berka. Żyd był widocznie poinformowany; w zasidatela zaczęła wstępować otucha. Przystąpił do biurka, wyciągnął jednę z szufladek, odrzucił szybko na bok kilka papierów, które znajdowały się na wierzchu, a w których już po samym sposobie złożenia i gatunku poznał urzędowe dokumenta carskiego rządu, na samym zaś dopiero spodzie szufladki znalazł niewielki arkuszyk, który wyciągnął z tryumfem i podnosząc go w górę rzekł:

— Nu, a szto eto pan kamerjunkier?

— List od kochanki, — rzekł z dziwnym uśmiechem pan Artur.

Był on niby pomięszany i na razie nic więcej nie mówił, a charakterystycznego ruchu ręki, który zasidatel przy tej sposobności ponowił w sposób daleko wyraźniejszy, zdawał się zupełnie nie rozumieć.

— *Uwidim szto* ona wam pisze, ta wasza kochanica rewolucja, — rzekł zasidatel, zabierając się do odczytania dokumentu, — a! ona od was chce podatku?...

— Pod karą śmierci — tłumaczył się pan Artur.

— *Eto niczewo!*... choćby i pod karą śmierci, wierny poddany płacić nie powinien.

— Ja też nie płacę.

— Nu, tak, tylko wasz ojciec... pan marszałek... *prekrasnaja sztuka*.... marszałek i buntowszczyk!

— Mój ojciec nie płacił także!

— Wot na eto nie ma *dokazatelstwa*, pan kamerjunkier, a kto wie czy panowie nie zapłacili? A jeśliby panowie nie chcieli płacić, toby panowie kazali złapać buntowszczyka, co to pismo przywiózł i oddaliby go naczalstwu. A jak panowie jego nie oddadzą, tak bieda będzie panie kamerjunkier, wierzajcie mnie szto bieda będzie. Areszt, kontrybucja, kibitka, zsyłka, Sybir, czort znajet szto! *Ja wam sowiestno gawariu*, jego trzeba oddać naczalstwu, a nie to *jej Bohu* bieda będzie. *Otże ja wam skażu*, dajcie mnie tego buntowszczyka i sto całkowych, tak już ja zrobię co wam nic nie będzie. *Czestnoje słowo, buntowszczyka i sto piatdesiat' całkowych*, a z tą bumagą co ja zrobię... wot szto!...

To mówiąc zasidatel zbliżył bumagę do świecy, która się paliła na biurku.

Gdyby pan Artur w tej chwili sięgnął ręką do kieszeni, papier już byłby spalony, ale ex-kamerjunkier zbyt wielkim był dyplomatą, żeby mógł zrobić ruch tak niezręczny.

— Żartujesz pan, panie zasidatelu, — rzekł — ten papier nie znaczy nic, świadczy on owszem o naszej wierności dla rządu. Chcesz pan, to oddaj go rządowi.

— A buntowszczyk?

— Jaki buntowszczyk?

— Ten co to przyniósł.

— A któż go mógł wiedzieć, że on buntowszczyk? Wszedł i pojechał.

— Gdzie pojechał?

— Alboż ja wiem?

— Przeczytawszy bumagę mogłeś pan wiedzieć o co w niej idzie...

— Ba! kiedy on dopiero na odjezdnem ten papier podrzucił.

Zasidatel potarł ręką po czole.

— Pan kamerjunkier, — rzekł po chwili — *na szto wam eto?... Niet buntowszczyka, tak czort jewo pabieri!* Ja czestny człowiek, ja was zgubić nie chcę... dajcie mi dwieście całkowych a ja tej bumagi nie wezmę.

— Nie dam nic, ten papier zgubić nas nie może...

— *Założym*, dajmy na to, *naczalstwo* na was łaskawe, pan marszałek ma zasługi, onże kawaler, *orderów* u niego dwa ili try, *no wy znajetie*... jak oni w guberni wezmą tę bumagę, to może i nic wam nie zrobią... ale trzeba będzie dać temu sto, temu dwieście, tamtemu trzysta... wy panimajetie... tak dajcież mnie sto piędziesiąt i *końcy w wodu!*...

Zasidatel powtórnie zbliżył papier do świecy. Tym razem zbliżenie było tak wielkie, że dokumentowi dyplomatycznie przez pana Artura uzyskanemu, rzeczywiste zagrażało niebezpieczeństwo. Zasidatel znał widać szlachtę polską i nie wątpił, że wspaniałomyślność korzystniej mu się opłaci niż wszelkie targi.

Nie można się było wahac. Pan Artur szybkim ruchem pochwycił Iwana Iwanowicza za rękę, klnąc w duchu szlachetność,

której czasem jako nieomylnego środka używa łapownictwo Moskali.

Zasidatel spojrzał na ex-kamerjunkra zdumiony. Niezwyczajność zdarzenia była dla czynowniczego umysłu doskonałym antydotem na wszystkie resztki wspomnień dzieńgielówki, jakie jeszcze pozostały mu w głowie Był już teraz trzeźwiuteńki.

— Ah! — rzekł — tak ja was i nie panimaju, pan kamerjunkier.

— Nie potrzebujesz pan mie rozumieć, — odpowiedział z cicha dziedzic rodu i fortuny Szóstackich. — weź ten papier i oddaj gdzie należy... Mnie nic nie zrobią!

— Tak! — zawołał czynownik. — wam nic nie zrobią, a mnie jeszcze wydadzą wygawor.

— Nie lękaj się pan, panie zasidatelu — odrzekł pan Artur protekcjonalnie, klepiąc po ramieniu czynownika — poświadczymy, że spełniłeś swój obowiązek jak się należy... Ale o tem, żem ja chciał żeby to dostało się do władzy, ani pary z ust!... rozumiesz pan?...

— Jaż nie dziecko! panie kamerjunkier — zakonkludował zasidatel i po raz trzeci powtórzył charakterystyczny ruch ręki.

Tym razem nie uczynił tego daremnie. W ręku jego znalazła się bumażka, i w okamgnieniu znikła w głębi czynowniczej kieszeni.

Zadanie Iwana Iwanowicza było spełnione, pozostawało mu tylko pożegnać byłego kamerjunkra i oddalić się, ale był jeszcze magnes, który go zatrzymywał w Łaszczyńcach.

— Pan kamerjunkier powiada — odezwał się, robiąc językiem ruch, wyrażający najwyższą ochotę posmakowania czegoś upragnionego, — pan powiada, co ja dobrze spełnił swój obowiązek, a moja *sowiest'* powiada mnie że nie. Ja nie powinien był wierzyć, że *w toj butylkie* buntowszczyka nie było.

— Chodźże pan chodź — roześmiał się pan Artur, — toż ja dla pana przygotować ją kazałem.

I zaprowadził zasidatela do stołu.

Biesiady opisywać nie będziemy; dosyć powiedzieć, że wystarczyła ona zupełnie Iwanu Iwanowiczowi, bo opuszczając dobrze po północy Łaszczyńce nie myślał już wcale o zabieraniu pod areszt Mortka i baryłek z dzieńgielówką. Przez całą drogę na bryczce spał snem sprawiedliwego, który się czuje pod konwojem złożonym z kozaków i żandarmów.

A pan Artur, wyprawiwszy zasidatela, nim się sam udał na spoczynek, zakończył dzień ten zaprawdę nie stracony, następującym monologiem:

— I czego oni chcą od rządu ci wartogłowy, ci niepoprawni szaleńcy? Gdzież jest kraj, w którymby człowiek prosić się musiał i przekupywać urzędnika, ażeby zostać skompromitowanym i oskarżonym?...

V.

Nie byliśmy jeszcze ani razu w garbarni Stanisława Wydry w Gradowcach, a zasługuje ona na odwidzenie, przygotowywano się w niej bowiem w tym czasie na garbowanie skór, którym się już oddawna należała ta operacja.

Jak w całym kraju, tak i w Gradowcach największy stosunkowo procent zapalonych ochotników do starcia się z wrogiem dostarczyć miały warstaty. Nieszczęściem warstatów nie było w kraju wiele. Gradowce naprzykład posiadały jednę tylko, zasługującą na tę nazwę fabrykę, w której pracowało zaledwie około dwudziestu ludzi.

Ludzie ci wszyscy jak jeden gotowi byli wyruszyć w pole na pierwsze skinienie Stanisława.

I niedosyć, że gotowi byli wyruszyć, ale gotowi byli czekać dopóki on im hasła nie da.

Ufali mu nieograniczenie, kochali go, wierzyli w jego wyższość i rozum, a co najważniejsza, nie mieli mu za złe tego rozumu i tej wyższości.

Pod jego przewodem w garbarni potworzyły się uboczne, nie mające żadnego związku z pospolitem garbarstwem oddziały i składy, w których lały się kule i robiły ładunki, a przed okiem policji ukryte były zakopane w ziemi skromne na początek, lecz zwiększające się dość szybko zapasy broni białej i palnej.

Czy garbarnia Stanisława była jedynem podówczas arsenałem w miasteczku, nie wiemy i nie śmiemy twierdzić na pewno; zdaje się przecież, że coś więcej mogliby o tem powiedzieć ojcowie kapucyni gradowieccy, wygnani dziś z siedziby, którą zajmowali przez półtora z górą stulecia, i rozprószeni po szerokim świecie.

To pewna, że jeżeli u ojców Kapucynów nie było arsenału, to tam był skarbiec powstańczy okolicy i skład odzieży dla przyszłych powstania wojowników. Swięty fundator tego zakonu dziwił się zapewne w niebie niemało, że wyznawcy jego reguły, którym przepisał drewniane sandały, zakupywali i mieścili u siebie na składzie takie znaczne transporta grubych juchtowych butów z cholewami sięgającemi za kolana i innych części ubrania, krojem z regułą kapucyńską wcale niezgodnych, jakie tam od czasu do czasu ostrożnie, pod wierzchnią warstwą niewinnych główek kapusty albo innych jarzyn zwożono.

Co do skarbca powstańczego, o tym już wiemy — złożył go tam rotmistrz Gradowski, i w chwili wywiezienia na wygnanie polecił Stanisławowi i jego żonie, ażeby ten depozyt, gdy będzie trzeba oddali ojczyźnie co do szeląga.

Było zatem w Gradowcach wszystko co do przygotowawczych robót powstańczych było potrzebne. Była głowa, byli ludzie chętni, były pieniądze. Brakowało tylko instruktora wojskowego, brakowało dowódcy, i temu jedynie podobno przypisać należało, że wybuch nie nastąpił zaraz za pierwszem hasłem, chociaż się do niego dawniej niż gdziekolwiek przygotowywać zaczęto, i lepiej niż gdziekolwiek przygotowywano.

Stanisław starał się temu brakowi zaradzić. Jeździł sam do Warszawy, błagał i prosił o wojskowego organizatora, zabiegi jego przecież były daremne. Wiadomo że w ostatniem powstaniu niczego nam bardziej nie brakowało, jak ludzi wykształconych wojskowo. Rzadkością stosunkowo byli nawet tacy, co choćby tylko jakąś służbę wojskową odbyli, jakkolwiek sam fakt odbycia służby nie daje jeszcze dokładnej teorytycznej znajomości wojennej sztuki, a teorytyczna i praktyczna znajomość regularnego wojskowego rzemiosła okazuje się jeszcze najczęściej bezsilną i na niewiele przydatną w wojnie partyzanckiej.

Ilu można było zebrać wojskowych, tylu podzielono na cały kraj, ale ta liczba znikła w ogromnym obszarze, w którym każda okolica miała dla siebie stanowić ognisko wojny.

Dla Gradowiec i okolicy nie wystarczyło już nikogo. Obiecywano, ale na obietnicy się kończyło.

Stanisław starał się brakowi temu zaradzić chwilowo. Sprowadził sobie książki i uczył się z nich mustry oraz taktyki, a nabranej wiedzy udzielał tym, którzy za nim pójść w ogień byli gotowi.

Jak ta nauka szła — Bogu to wiedzieć! Uroczyście i poważnie ze względu na cel i szczerą wolę nauczyciela i uczniów, licho i humorystycznie nawet ze względu na skutek.

W tym kierunku Gradowce były niejako typową próbką tego co się działo w całym kraju. Instruktorowie dyletanci kształcili dyletantów żołnierzy — do wojny z armią regularną i tem karniejszą, że w ogromnej większości złożoną z nierozumnych jednostek.

Zapał jednakże nie porwał Stanisława zadaleko. Powiedział on sobie, że świętym jego obowiązkiem jest czekać, aż przybędzie ktoś taki, co będzie mógł objąć kierunek, albo aż otrzyma rozkaz do prowadzenia swojej garstki do jakiego uorganizowanego już i mającego kompetentnego dowódcę oddziału. Tymczasem całe działania swoje skierował na osłonięcie przygotowań tajemnicą przed wrogami. (C. d. n.)

Wspomnienia z Włoch

od 1864 do 1867 r.

Zanotował

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy).

XI.

KOBIETY.

„Jeden z moich świadków w pojedynkach z Mazzinistami“ — pisał dalej Karol — „z imienia Enrico, prócz bardzo wielu zalet osobistych miał jeszcze i tę familijną, że był rodzonym bratem signory Giulietty, wdówki dwudziestoletniej, kobiety smukłej i pięknej, która po roku niezbyt szczęśliwego pożycia małżeńskiego, z jakimś starym tetrykiem, stale przy bracie zamieszkała. Młodzi ci ludzie, będąc sierotami od najpierwszej młodości, żyli dostatnio, gdyż rodzice zostawili im majątek, a signora Giulietta, otrzymawszy prócz tego po mężu kilkadziesiąt tysięcy, uchodziła nawet między młodzieżą polującą na posag za partję wcale przyzwoitą.

Enrico mieszkał z siostrą o kilkadziesiąt kroków od mego domu. Poznawszy go bliżej na wykładach uniwersyteckich, uczułem dlań pra-

wdziwą sympatję, i odtąd widywaliśmy się codzień prawie. Czasami zachodził nawet do mego mieszkania, ale do siebie nigdy mnie nie zaprosił. Chociaż mnie to nie dziwiło, gdyż Włoch najczęściej tak postępuje, w duszy jednak irytowałem się tem niesłychanie. Byłem przyjacielem Enrica, a nie poznałem osobiście jego siostry, której czarne oczy taki blask rzucały przez zielone żaluzje, ilekroć popod ich dom przechodziłem! Nieprawdaż, że to mogło irytować?

Gdybyś mnie zapytał, dla czego tak gorąco pragnąłem poznać Giuliettę, musiałbym wyznać, że za pięknem prawdziwem, bez względu jakie ono przybiera kształty, zawsze przepadałem, i ponoś po koniec życia wiernym mu zostanę. Dla tego długie godziny będę stał przed pięknem dziełem architektonicznem, dla tego marzę przed posągami Praxitelesa, dla tego mógłbym się zrujnować na piękne konie, dla tego zbliżałem się zawsze do pięknych mężczyzn, dla tego nakoniec przepadam za pięknemi kobietami. Jeżeli to uczucie jest karygodnem, niech za to odpowiada stary Plato, który pierwszy nauczył mnie piękno rozumieć. Może mi na to odpowiesz, że jeżeli inne uczucia nie kierowały mną wtedy, to powinienem był poprzestać na podziwianiu signory Giulietty z daleka, w oknie lub na ulicy. Na takie zapatrywanie nigdy nie przystanę. Wszak wiesz, że jestem synem XIX stulecia, które sztukę swoją zbudowało na epoce odrodzenia. U Greków piękno zewnętrzne było wszystkiem, ale Leonard da Vinci, Raffael i Michał-Anioł, uzupełnili piękno greckie przymiotami wewnętrznemi, piękną duszą... Gdybym więc był Grekiem, wystarczałby mi sam widok pięknej kobiety, ale że jestem spadkobiercą pojęć wyrobionych w XV stuleciu, więc ilekroć zobaczę piękną kobietę, pragnę się zaraz przekonać, czy w niej mieszka równie piękna dusza, bo dopiero te dwa piękna razem złączone tworzą harmonję. Widzisz więc, że moje pragnienie nie było ciekawością, ale dążeniem estetycznem.

Ponieważ należysz do niedowiarków, więc na zabicie w tobie ostatnich podejrzeń, dodam jeszcze, iż w owym czasie Alma była jedynem mojem marzeniem, a fatalna maskarada miała nastąpić dopiero za kilka tygodni. Czy wierzysz teraz?

Giuliettę widywałem tylko w oknie, lub na ulicy, gdy szła do kościoła, lub do sklepu za sprawunkami. Wychodziła czasem z panną służącą, najczęściej jednak sama, gdyż będąc wdową wiedziała, że mężczyźni nie należą do istot bardzo strasznych i niebezpiecznych. Gdybym był nie znał jej brata, byłbym może zaglądnął pod kapelusik, — bo też nieznośne wtedy noszono kapelusze, które pół twarzy zasłaniały — byłbym może w jakim magazynie zbliżył się i rozmowę zawiązał, ale w tym stosunku należało trzymać się w przyzwoitem oddaleniu. Trzymałem się też zawsze na dwadzieścia kroków — ale to bynajmniej nie przeszkodziło, by ona nie zwróciła na mnie swojej uwagi. Ach, te kobiety, jakie one domyślne! Ilekroć ją spotkałem, choćby nie umyślnie, zawsze nad jej usteczkami pojawiało się coś na kształt uśmiechu, a usteczka miała interesowne, jak cię kocham niezrównane, bo w załomach drobnym puszkiem przysłonione. Na widok takich usteczek, myślisz sobie zawsze: jak gorącym musi być ich pocałunek?

Gdy nadszedł ów dzień pamiętny, w którym miałem wyzwać bohaterskiego inżyniera, napróżno szukałem Enrica, chcąc go prosić na świadka. Po godzinnem bieganiu postanowiłem nareszcie udać się do jego mieszkania. O pięknej Giuliecie ani pomyślałem, tak głowa moja była wtedy zaprzątnięta wielkiemi planami. Zadzwoniłem — jakież atoli było moje zdziwienie, gdy zamiast służącego lub służącej, ujrzałem we drzwiach ją samą... Czy to przypadek zrządził, lub czy może widząc przez okno, że wchodzę do ich domu, umyślnie pospieszyła drzwi otworzyć, aby mnie służba nie odprawiła? Na te refleksje głowa moja nie mogła się wtedy zdobyć, ale czynię je dziś, pisząc spokojnie ten list do ciebie.

— Przepraszam panią, czy zastałem signora Enrica?

— Nie ma go jeszcze, ale za chwilę nadejdzie... proszę!

Trudno było odmówić; poszedłem za piękną przewodniczką do salonu, gdzie przedstawiłem się, przepraszając zarazem za natrętne odwiedziny.

— Przeciwnie — odrzekła wskazując mi miejsce bym usiadł — obecność pańska w domu mego brata może mu tylko przyjemność sprawić... Nie ma dnia, żeby o panu nie wspomniał.

Skłoniłem się dziękując za życzliwość.

Rozmowa nasza toczyła się dokoła rzeczy obojętnych, ale że w całem mojem zachowaniu musiało być coś gorączkowego, więc piękna gospodyni uznała za stosowne zapytać:

— Pan zapewne ma pilny interes do Enrica?

— Tak... pilny... rzeczywiście, bardzo pilny!

— Przykro mi że go nie ma, i bardzo mnie to dziwi... właśnie czekam go z objadem, a jak dotąd nigdy się jeszcze nie spóźnił... musiał się z kimś spotkać... Ale — dodała po krótkiej pauzie, patrząc na koniuszek trzewiczka, który figlarnie wyzierał z pod rąbka pąsowej sukienki — jeżeli panu bardzo spieszno, to może powiem bratu gdzie pana będzie mógł zobaczyć, bo nie chciałabym go dłużej nudzić...

— O pani! — zacząłem jak amant na deskach teatralnych, który nie wie co odpowiedzieć. — O pani! — powtórzyłem raz jeszcze, a że doprawdy nie wiedziałem jakim frazesem się popisać, wiąc być może, że po trzeci raz byłbym się uciekł do tego samego wykrzyknika, gdyby losy opiekuńcze nie były w tej chwili przyniosły Enrica, który zmęczony i spocony wpadł jak bomba do salonu.

Moja obecność wcale go nie zdziwiła.

— *Come sta, carissimo!* — zawołał ściskając mnie za rękę serdecznie. — Przecież do nas zajrzałeś! U was, którzy się trzymacie form francuskich, trzeba zapraszać, ale ja nikogo nie proszę, bo nie cierpię Francuzów! Dobrze żeś przyszedł — odtąd będziemy jeszcze szczerszymi przyjaciołmi.

Nie mając czasu do stracenia, przeprosiłem signorę Giuliettę, a wziąwszy Enrica pod ramię, poszedłem z nim do przyległego pokoju, gdziem mu całą sprawę opowiedział. Poczciwy chłopiec nie tylko podjął się wszystkiego, lecz chciał mnie jeszcze gwałtem zatrzymać na objad, twierdząc, że *dopo la minestra* łatwiej można przeprowadzić najzawilszy interes. Zaledwiem go przekonał, że sprawa jak moja nie cierpi zwłoki. Zmartwiony tem nieco, że objad będzie jadł o godzinę później, wziął kapelusz i laskę.

— Spodziwam się — rzekła signora Giulietta, gdym się z nią żegnał — że odtąd nie samym tylko interesom będzie mój brat zawdzięczał obecność pańską w naszym domu...

O mało znowu mi się nie wyrwało: o pani! — ale dałem pokój, i poprzestawszy tym razem na głębokim ukłonie, uścisnąłem podaną mi rączkę, która była śliczna, prześliczna, kto wie nawet czy nie piękniejsza jak... Almy.

Skończyły się pojedynki, ale nie znajomość z Henrykiem i jego siostrą. Ponieważ mieszkaliśmy bardzo blisko siebie, więc z początku co trzy dni, potem codzień, a w końcu po kilka razy na dzień wbiegałem do mego przyjaciela, mając doń zawsze jakiś interes. Wypadek chciał najczęściej, żem go w domu nie zastawał, ale za to każdym razem widywałem piękną Giulettę, którą te natrętne wizyty ani gniewały, ani nawet dziwiły. Z początku byliśmy z sobą z daleka, ale powoli takeśmy się oswoili jak brat z siostrą. Wierz mi, jak brat z siostrą...

Rzecz atoli godna zastanowienia, że w miarę jak pękały lody konwencjonalizmu, Giulietta stawała się mniej mowną, od czasu do czasu bladła, to się rumieniła, a gdym do niej mówił, rzadko mi w oczy patrzyła.. Bardziej jeszcze dziwiły mnie zapytania, które mi zadawała niemal codzień i przy każdej sposobności. Kilka z nich przytoczę abyś się domyślił, czego ja podówczas nie umiałem się domyśleć. — Czemu pan nie był dziś z rana u nas? — Z kim się pan spotkał koło kościoła? — U kogo pan był w loży wczoraj? — Czy hrabina Alma rzeczywiście taka piękna jak mówią? — W którym ona kościele bywa? — Czy kobiety w Polsce brunetki czy blondynki? — Pan zapewne gustujesz w blondynkach? — (Giulietta miała włosy jak heban). — Czy mężczyźni w wieku pańskim miewają już niezłomne postanowienia? itd. itd.

Niezwykłe te zapytania bawiły mnie z początku; odpowiadałem też na nie żartami, gdyż tylko na żart zasługiwały. Później jednak zaczęło mnie to trochę męczyć, i raz w chwili dobrego humoru, poprosiłem signorę Giuliettę aby z rozmowy raczyła na zawsze wykluczyć nasze osoby.

— Dobrze — odpowiedziała, lekko usta przygryzając, i od tego dnia nigdy mi już takich pytań nie zadawała.

W kasynie dano bal okazały.

Byłem ja, była Alma, był cały świat wytworny, i była signora Giulietta w towarzystwie brata i pewnej rodziny, z którą zostawała w ścisłych stosunkach przyjaźni. Jednego walca przetańczyłem z siostrą mego przyjaciela, ale resztę czasu poświęciłem Almie, która tego wieczora była prześliczna. Gdy około północy przyszedłem do Giulietty, aby ją zaangażować do polki, ona patrząc gdzieś w głąb sali, odpowiedziała głosem stłumionym:

— Przepraszam pana, mnie głowa boli... ale czy pan nie widzisz, że piękna hrabina szuka pana okiem zazdrośnem...

Nie zwracając uwagi na właściwe tych słów znaczenie, wziąłem ból głowy za rzecz naturalną — w sali było bardzo gorąco, — i wróciłem do Almy, która istotnie miała mi coś powiedzieć.

W pół godziny później szukałem Enrica i jego siostry lecz ich nie znalazłem. Wyszli pierwsi, bo signorę Giuliettę główka bardzo bolała.

Nazajutrz odwidziłem ich w południe; jego nie zastałem — ona przyjęła mnie sama, ale była bardzo blada. W rysach twarzy i oczach migrena zostawiła swoje ślady...

Rozmawialiśmy o balu wczorajszym, i o wielkiej maskaradzie, która nazajutrz miała nastąpić, a po której, jak wiesz, signor conte spotkał mnie przy boku swojej pani. Giulietta mó-

wiła bardzo mało, i tylko kilka razy powtórzyła z naciskiem: że hrabina Alma jest osobą rzadkiej piękności. Cóż to mogło znaczyć? Miałażby moja znajomość być już głośną tajemnicą?

Upłynął tydzień, a w tym tygodniu rozegrała się moja komedja z piękną hrabiną. Znajomość z Giuliettą przyczyniła się w wysokim stopniu do wyleczenia mego serca. Ilekroć słabość dla Almy brała nademną górę, ilekroć chciałem do niej pobiegnąć, aby ją przeprosić za zimne a nawet obrażające zachowanie się nazajutrz po maskaradzie, zawsze postać Giulietty stawała mi przed oczyma... To też spieszyłem do niej, aby patrząc w jej oczy, łatwiej zapomnieć o oczach tamtej...

Po kilku dniach nie przypominałem już sobie czym Almę znał kiedykolwiek.

Im dłużej przesiadywałem w salonie Enrica, tem weselszą i mowniejszą stawała się Giulietta. Od czasu do czasu wspominała jeszcze o pięknej hrabinie, ale gdym ją uroczyście upewnił, że u tej damy wcale nie bywam, zawołała: — Jak to pięknie! — i całkiem o niej mówić przestała.

Signora Giulietta szczebiotała raz swobodnie, bo w salonie prócz mnie nikogo nie było, a potem stanąwszy w oknie, przechyliła się, aby zobaczyć kto właśnie krzyczał na ulicy. Zaciekawiony zbliżyłem się i ja do okna. Na ulicy wrzeszczał jakiś przekupień zachwalając swój towar. Widok jego nie był dla mnie zajmującym, ale za to w wysokim stopniu był przyjemnym widok drugi, który miałem tuż przed sobą. Giulietta przechyliwszy się, odsłoniła szyjkę, ach! jaką szyjkę! Wierz mi, Canova nigdy takiej nie wykuł z marmuru. Wychylała się ona z białej osłony kołnierzyka, a była biała, okrągła, woniejąca, dalipan woniejąca! Jeźli myślisz że przesadzam, zapytaj starych Rzymian, a powiedzą ci, że i oni znali piękności, których ciała naturalną woń wydawały... Na widok takiej szyjki, cóż byś ty zrobił będąc na mojem miejscu? W oczach mi trochę pociemniało, serce zaczęło bić szybciej, i mimowoli, jak cię kocham, mimowoli nachyliłem moje usta, i delikatnie dotknąłem się niemi tego posągu woniejącego. Cóż w tem złego, wszak to był żart tylko!...

Ale ona tego za żart nie wzięła! W chwili gdym ją pocałował, drgnęła, a potem szybko obracając się ku mnie, wpatrzyła się we mnie okiem roziskrzonem, i zanim miałem czas cofnąć się, ujęła mnie za rękę kurczowo, a z jej ust biegły słowa bezładne, chaotyczne:

— Carlo! ty mnie kochasz? Czemuś mi tego dotąd nie powiedział?... Czemu na tak długie skazałeś mnie tortury!... A ja ciebie tak kochałam!... Carlo! tyś mój! Ty mnie kochasz!... niepoczciwy Enrico żartował sobie ze mnie, mówiąc że ty kochasz tę... tę Almę... Nieprawdaż, ty tylko mnie kochasz? O, Carlo, powiedz!

Jakże byś ty sobie w takim wypadku postąpił? Czy odpowiedziałbyś może: moja pani, pocałunek nie zawsze jest dowodem miłości, jam ciebie pocałował tylko przez żart? Taka odpowiedź byłaby grubjańską, a ja niegrzecznym nigdy nie byłem. Chociaż jej słowa oblały mnie jak zimną wodą, bom ani przypuszczał, żeby niewinny, braterski pocałunek, mógł ją tak daleko zaprowadzić; chociaż w tej chwili radbym się był ujrzeć na ulicy, mimo to przypomniawszy sobie że kobieta lekceważenia nie przebacza, odrzekłem cicho:

— Kocham!

— O, kochaj! kochaj mój Carlo!

I z tym okrzykiem przytuliła lewe uszko do mojej piersi, a twarz z oczyma wpół przymkniętemi obróciła ku mnie. Ach, te wdówki! jak znakomitą one mają metodę! Przed chwilą widziałem szyjkę, a teraz usteczka różowe, malutkie, ładniutkie — które o całus tak prosiły!... Widząc je, mógłbyś zostać obojętnym?

Pocałowałem...

Odtąd byłem zgubionym!

(C. d. n.)

PAMIĘTNIKI

STANISŁAWA hr. MAŁACHOWSKIEGO,

Posła do Stambułu w czasie Sejmu czteroletniego, Generała, Senatora, Kasztelana Królestwa Polskiego itd. itd.

Z manuskryptu wydał i objaśnił
Wincenty hr. Łoś.

(Ciąg dalszy.)

Gdy nadeszła do Końskich wiadomość, że królewicz, książę Karol, ma przyjechać w odwiedziny do kanclerzyny, babki swej żony, z domu Krasińskiej, natychmiast posłano do Warszawy po najbieglejszego perukarza, by przystroił głowy wszystkich dam mogących mu się prezentować. Artysta przywiózł ze sobą wysokie kulbaki na kształt tych, jakie w Hiszpanji na mułów używają, i do tego szpilki czarne, podwójne, wielkości 18 cali. A że piękność fryzury na jej wysokości zależała, przeto musiano sporządzać małe rusztowanie. Ażeby ubierająca się mogła ten cel osięgnąć, potrzebowała kilka godzin czasu; dla tego cztery synowe kanclerzyny, jedna po drugiej siadały do wykonania tego arcydzieła. Ukończone głowy musiały się strzedz najmniejszego poruszenia, aby sztuczne piramidy, pudrem obsypane, i na tak lekkich podstawach spoczywające, nienaruszonemi zostały. Z tej przyczyny wszystkie cztery synowe w wilję dnia przybycia spodziewanego gościa, kłaść się do łóżka nie mogły, i całą noc na krzesłach przepędziły. Nazajutrz dopiero o piątej rano przystępowały panny respektowe do ubierania pań swoich w rogówki dochodzące w stosunku fryzur do trzech łokci niemal szerokości, które dopiero według objętości pokryto rombronami.

Opis ten żona moja dla ciekawości zachowała z opowiadania matki naszej. Rodzice moi rzadziej już bywali w Końskich; ojciec mój często na pedogrę zapadający, podróży odbywać nie mógł. Zostawałem więc w domu babki, u której także były inne wnuczki, mianowicie: siostra moja, która poszła za Rostworowskiego, Grabińska, z którą się ożenił Zboiński, córka synowej a żony kanclerza, która poszła za Karwickiego i syn kanclerstwa, co się ożenił z Sołtykówną. Te lata dziecinne w tak licznem a stosownem towarzystwie najprzyjemniej przepędziłem. Grywaliśmy w gry biegające, do których i mój stryj, kanclerz, lubiący dzieci, należał; w długich zaś wieczorach wszyscy zasiadali u stołu wielkiego; wtedy babka moja przewodniczyła, i tak graliśmy w *loto*, płacąc za każdą kartę trzy grosze, a kiedy któremu z nas, dzieci, brakowało pieniędzy, to zaraz mu dawała. Och! jakże to miło zwrócić się w owe czasy, jak szczęśliwym się czuję, że pamięć moja dochowała te tak zadawnione wypadki! Jakaż zmiana w obyczajach, towarzystwie, sposobie życia i jaka jeszcze przygotowana przyszłość!

Schodziły miesiące, mijały lata, zacząłem rok 12ty; lekcje moje przy księdzu Rykaczewskim odbywały się regularnie. Czas przepędzałem w ciągłem zatrudnieniu i niewinnych zabawach; nie znałem nieszczęścia ani smutku, kochałem bardzo babkę, i ta mnie więcej od innych wnuków lubiła. Nie uskarżająca się na żadną słabość i lubiąca chodzić wiele, zdawała się obiecywać być długo między nami, lecz że zawsze szukają przyczyny przyspieszenia śmierci, powiedziano więc, że niestrawność sprowadziła jej chorobę. Miała apetyt dobry, a lubiła wszystkie niezdrowe potrawy, osobliwie marynaty. Dostała więc boleści, chociaż miała doktora domowego de Tillé, człowieka bardzo w swej sztuce biegłego. Ten widząc wzmagającą się gorączkę, osądził kogo jeszcze do rady przyzwać, a że pod ów czas nie tak kraj był napełniony doktorami jak teraz, posłano zaraz do Kielc, gdzie był sławny doktor Cesaretti. Ten przybywszy osądził, że choroba wyleczoną być nie może, a lubo jeszcze babka moja przechadzała się, namówił ją, aby się położyła, co zrobiwszy kazała tylko łóżko na środek pokoju posunąć, aby z okien na słońce i przechodzących patrzyła.

Wszyscy synowie się zjechali, a że to było w lecie, kiedy się muchy najwięcej uprzykrzają, siedział zawsze jeden przy łóżku z oganką. Raz, gdy zasnęła, stryj mój dał mi ogankę, bym oganiał, a dzień był bardzo piękny i było to po objedzie. Obudziwszy się babka moja i widząc że siedzę przy niej, odezwała się: — „Cóż to, ty nie na spacerze? to zapewne mój syn referendarz ciebie tu posadził, on się lubi wszystkim sprzeciwiać, Jacek by tego nie zrobił.“ Zadzwoniła i posłała po Rykaczewskiego, aby zaraz konie były okulbaczone i żeby jechał ze mną. Umieszczam ten szczegół, jako dowód jej dobroci i przytomności.

Cztery dni jeszcze po tem żyła i opatrzona św. Sakramentami do końca rozmawiając, umarła dnia 10. lipca 1782 roku. Nie opisuję pogrzebu, bo każdy pojmie, że z całą okazałością był obchodzony.

Nastąpił potem dział majątku i rozgraniczenie z sąsiedzkiemi dobrami. Ojciec mój, który lubił spokojność i często zapadał na pedogrę, ani jednemu ani drugiemu nie był przytomny, to też w obydwóch pokrzywdzonym został. Dobra Końskie, pałac w Warszawie i kamienicę w Krakowie otrzymał w dziale; starostwo Opoczyńskie dawniej mu było przez ojca darowane; Włoszczowa zaś, Pruswisko, Niegowonice i Rodeki były posagiem matki mojej. Jeszcze do działu ojca mego należał Baranów nad Wieprzem, ale moja matka za poradą mego brata starszego przedała go bardzo tanio, bo za trzy kroć sto tysięcy jenerałowi Byrzewskiemu. Gdy rok 18ty zacząłem, radzono mi, abym przeciw przedaży jenerałowi proces wytoczył, że byłem małoletni, a więc kupno podobne było nieprawne. Ale ugruntowany w moralności zasadach szanowałem podpis matki mojej, i nie dałem się uwieść radom pochlebców, którzy psują serce młodzieży.

Po ukończonych działach rodzice moi ze mną wrócili do Włoszczowy; Końskie zostało puste, gdyż się wszyscy rozjechali i administracja tych dóbr była oddana komisarzowi Rabka, na czem też majątek zrobił, kupiwszy wieś Szucice w powiecie Opoczyńskim. Ojciec mój częściej zapadał na pedogrę i w sześć miesięcy po śmierci swej matki umarł w 59tym roku życia swego.

(C. d. n.)

Magnetyzm zwierzęcy i Jasnowidzenie.

przez

Dr. Jana Stellę Sawickiego.

(Ciąg dalszy).

W szpitalu Necker znajdowała się dziewczyna dotknięta od kilku miesięcy paraliżem dolnych kończyn, który nie ustępował przed żadnemi środkami. Postanowiono więc zastosować żegadło (rozpalone żelazo) po obu stronach kręgosłupa. Na drugi dzień posadzono chorą w krześle koło pieca, w którym się grzały pręty żelazne. Chcąc zrobić próbę wrażliwości chorej, lekarz wziął pręt zimny i dotknął nim ciała chorej. Dziewczyna oczekując uczucia bolu, zaczęła wołać w niebogłosy, jakby ją pieczono na stosie, i robiąc wysilenia do ucieczki wstała z krzesła i uzdrowiona uciekła do drugiej sali.

Lekarz angielski Beddaes ogłosił, iż kwas azotowy jest doskonałem lekarstwem na porażenie bez względu na jego przyczynę. Davy i Coleridge postanowili zrobić doświadczenie na paralityku opuszczonym przez innych lekarzy. Pacjent nic nie wiedział jak będzie leczonym. Davy wyjął kieszonkowy termometr dla oznaczenia ciepłoty krwi przed i po zadaniu lekarstwa, i położył go pod język chorego. Zaledwo paralityk uczuł termometr tego sławnego lekarza między zębami, przyszło mu na myśl, że to być musi jakieś cudowne narzędzie, które ma go wyleczyć. „Panie, zawołał, ja czuję że mi teraz już lepiej!" Davy znacząco spojrzał na kolegę i nie wyprowadził chorego z błędu. Postanowiono zamiast zadawania kwasu azotowego, kłaść mu codziennie kilka razy termometr pod język. Po piętnastu dniach takiego postępowania chory przyszedł do siebie, i porażenie ustąpiło bez żadnego innego leczniczego środka. Gdyby Davy doświadczenia swego nie otoczył był pewną tajemniczością, gdyby zaniechał dramatycznej strony swej sztuki, a powiedział choremu „oto jest narzędzie do mierzenia ciepłoty"—chory pozostał by był paralitykiem.

Do kliniki w szpitalu strasburskim przyjętą została chora z dawno twającą rwą twarzową (Prosopalgja), której trzy razy już przecinano nerw bezskutecznie. Dla ulżenia w cierpieniu nic nie pozostało jak wstrzykiwanie morfiny kilka razy dziennie, bo po każdem wstrzyknięciu bole ustawały na czas pewien. Przyszło mi na myśl zbadać, ile czasu upływa od wstrzyknięcia morfiny w różne miejsca ciała do ustania bolu, lecz nie mogłem dostrzedz żadnego stałego prawa. Raz przez pospiech mając wielu chorych, zapomniałem napełnić strzykawkę rozczynem morfiny i ukłułem chorą próżnym instrumentem. W chwili gdy chciałem poprawic omyłkę moją, chora przyzwyczajona do odpowiedzi kiedy ból ustanie rzekła: „już teraz nie boli." Nic nie powiedziałem, lecz od tego czasu codziennie robiłem operację nic nie wstrzykując chorej, a ból po tej manipulacji ustawał zawsze.

A któż z nas nie wyprobował, jak często ból zębów ustaje, skoro dentysta stanie przed nami z obcążkami w ręku?

Drugim czynnikiem moralnym odgrywającym niezmiernie ważną rolę w życiu ludzkiem i w chorobach, szczególnie nerwowych, jest naśladownictwo.

Nie każdy to robi co jego sąsiad, lecz jakiś nieprzeparty pociąg popycha każdego do tego co drudzy robią. Spojrzmy na epoki wielkich rewolucyj społecznych, ruchów ludowych, manifestacyj politycznych: — ludzie najsprzeczniejszych zdań uniesieni ogólnym prądem robią to, co drudzy, nie oglądając się, nie analizując swych uczuć i nie zważając na następstwa. Toż samo co z ludźmi dzieje się ze zwierzętami; one idą za swym przodownikiem i robią to co on. Widok cierpienia wzbudza cierpienie. Wielu ludzi nie może widzieć wymiotujących, bo sami natychmiast dostają wymiotów lub nudności. Niepodobna patrzeć na ziewającego, na robiącego grymasy, żeby nie zacząć ziewać lub nie uczuć popędu do zrobienia podobnego wykrzywienia. Śmiech, czkawka, kaszel, płacz, drażnią i usposabiają do tegoż samego. W szpitalach gdzie jest dużo dzieci chorych na koklusz, zaledwo jedno kaszlać zacznie, zaraz mu wszystkie wtorują. Naśladownictwo może wytworzyć epidemję manji samobójczej, drgawek (konwulsyj), demonomanji, pląsawicy, (choroba św. Wita) i t. d.

Dwieście lat przed wojną trojańską córki Praetusa, króla Argolidy, dostawszy obłędu zaczęły biegać po polach wyobrażając sobie, iż się przeobraziły w jałówki.

Obłęd ten wkrótce przez naśladownictwo udzielił się innym dziewczętom, i stał się prawdziwą epidemją między kobietami Argosu. Król ofiarował wielką nagrodę temu, kto znajdzie lekarstwo na tę chorobę. Pasterz Melamp podjął się tego. Zauważywszy, że kozy jego dostawały biegunki, jak skoro najadły się pewnego ziela (helleborum nigtum), postanowił dać go chorym. Następnie myśląc, że ruch nadzwyczajny i zmęczenie dopełni kuracji, rozkazał chłopcom pędzić dziewczęta po polach. Pomysł był bardzo szczęśliwy i epidemja prędko ustała. Podanie mówi, że Praetus za tę usługę oddał Melampowi jedną z córek swoich za żonę.

Plutarch zostawił nam opis epidemji samobójczej, która panowała pomiędzy dziewczętami Miletu. Obrały one sobie pewne miejsce, gdzie codziennie wieszało się kilka. Żeby powstrzymać tę smutną monomanję ogłosiły republikańskie władze, że każda samobójczyni będzie po śmierci rozebraną, i nago wystawioną na placu publicznym ze sznurem na szyi. Działając na wyobraźnię strachem wstydu i profanacji, powstrzymano monomanję, która groziła wyludnieniem miasta.

Niedawno w Lyonie, w ciągu jednego miesiąca mnóstwo dziewcząt rzuciło się do Rodanu, wybierając zawsze jedno i to samo miejsce. W 1859 r. jakaś dziewczyna utopiła się w błocie, i błoto owo wkrótce stało się ulubionem miejscem, w którym topiły się dziewczęta z szalonem upodobaniem.

W 1862 r. w więzieniu Roquette pojawiła się epidemja samobójstwa między młodymi więźniami. Dziecko jedno zmęczone ostrością dyscypliny i zamknięciem w celi, wyrwało się z więzienia i wbiegłszy na wysoki most, prowadzący z drugiego piętra do kaplicy więziennej, rzuciło się z tamtąd głową na kamienie. W kilka dni potem zdarzyło się nowe samobójstwo na tem samem miejscu, potem trzecie i czwarte. Epidemję wstrzymano, zrobiwszy na moście wysokie ogrodzenie, którego przeskoczyć nie było można.

W Paryżu była strażnica wojskowa, którą musiano spalić, bo od czasu jak jeden żołnierz posłany tam na czaty zastrzelił się, szli wszyscy następcy za jego przykładem. Toż samo było z bramą w domu Inwalidów, którą musiano zamurować, bo od czasu jak jeden inwalid powiesił się w niej, znalazło się w ciągu tygodnia pięciu naśladowców.

W Afryce jeden z żołnierzy odstrzelił sobie wskazujący palec; natychmiast zn[...]źli się tacy co poszli za jego przykładem. [...]strzeliwanie palców stało się epidemicznem, tak że potrzeba było cały pułk rozdzielić na części i wcielić do innych pułków, a wtedy epidemja została powstrzymaną.

Do objawów naśladownictwa n leży odnieść wszystkie wypadki konwulsyj, które obserwowano w St. Gui, w Cevennach, nad grobem djakona Parisa, około wanny Mesmera i t. d.

W końcu 1848 roku, w czasie walki stronnictw, gdy tylu robotników zostało bez pracy, rząd prowizoryczny chcąc przyjść im w pomoc powziął myśl utworzenia pracowni narodowych dla żon robotników, gdzie one szyły koszule dla wojska. Jedna z tych pracowni znajdowała się na końcu ulicy Grenelle, w ogromnym manężu p. Hope, mającym 5.000 metrów sześciennych pojemności. Umieszczono w nim 400 kobiet bardzo wygodnie bo na każdą przypadało 12 kub. metrów powietrza. Szerokie okna w górze, ciągle otwarte, dawały przystęp słońcu i świeżemu powietrzu. Długość dnia pracy oznaczoną została na 10 godzin, z dwugodzinnym odpoczynkiem z rana i po południu. Nie była więc to praca bardzo uciążliwa i odbywała się w zupełnie hygienicznych warunkach. Pomimo to doniesiono wkrótce magistratowi, że w tej pracowni zaczęły pojawiać się wypadki konwulsyj. W przeciągu jednego dnia trzydzieście kobiet dostało drgawek. Wynoszono je na plac i kładziono na trawniku. Nie zważając na ogromne gorąco, pod wpływem kilku kropel świeżej wody, wszystkie przypady nerwowe ustawały w pół godziny. Na drugi dzień czterdzieści pięć osób dostało drgawek, na trzeci — czterdzieście nowych. Choroba zaczęła się szerzyć epidemicznie Ludność okoliczna nie mogąc znieść obrazu omdlałych kobiet wynoszonych codziennie, zaczęła szemrać. Nieprzychylni rządowi puścili pogłoskę, że tym sposobem rząd chce pozbyć się ludności, którą karmić musi. Między niewykształconemi najgłupsza pogłoska zawsze znajdzie wiarę; wzburzenie ludności stało się tak groźnem, że magistrat zmuszony był wysłać natychmiast lekarza, polecając mu zbadać miejsce pracy, znaleść przyczynę choroby, i przedstawić jakie należy przedsięwziąć środki zaradcze. Lekarz przybywszy do manężu znalazł 115 kobiet dotkniętych drgawkami. Niektóre już przyszły do siebie i nie pamiętały co się z niemi działo; piętnaście bez czucia leżały na trawniku otoczone groźnie usposobionym tłumem. U wszystkich zemdlałych kolor twarzy był prawidłowym, członki zdrętwiałe, nieruchome, oczy zamknięte, wszystkie zmysły przytępione, tętno powolne. Te, które przyszły do siebie mówiły, iż z początku czuły duszenie, potem mrówienie w kończynach i zawrót głowy, brak powietrza i uczucie zbliżającej się śmierci; następnie traciły przytomność i padały.

Nie znalazłszy w manężu nic coby mogło objaśnić te wypadki, ani zaduchu, ani zbytniego ciepła, ani braku powietrza lub nagromadzenia kwasu węglowego, bo zapałka paliła się płomieniem około samej ziemi, lekarz doniósł, że te wypadki konwulsyj połączonych z omdleniem są natury histerycznej i pochodzą z naśladownictwa, i że należy chore robotnice odesłać do domu żeby nie zarażały zdrowych.

Uwagi te i rady zostały przyjęte, a strach

postradania zarobku i wydalenie histeryczek wywarły takie silne wrażenie na pracujących, że epidemja natychmiast ustała. (C. d. n.)

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

przez

Dr. Z. Rościszewskiego.

IX.

Jeszcze o skrzekach.

„Niejasne określenia, na tajemnicach oparte, powinne być na zawsze wygnane z umiejętności.“ *Forster.*

Ileż to razy czytelniku samotny, w zadumie pogrążony, całemi godzinami przysłuchiwałeś się wśród ciepłego wiosny wieczoru to smętnym i żałośnym, monotonnym, to znów wesołym i melodyjnym rzekotaniom żab, gdzieś w bagnie lub błocie ukrytym, które nawołując się nawzajem i ciebie przyciągnęły do siebie. A kto zwidził Wołgi brzegi, kto błota Kazańskiej guberni przebiegł, ten stokroć głośniejszą słyszał tego rodzaju orkiestrę i nie raz tak głośną, tak podobną do ludzkich głosów muzykę żab i ropuch, że pomimo woli rozpustne śmiechy tamecznych mołodców i dziewic w uszach mu brzmiały, rozweselając w smutku pogrążony umysł.

Lecz iluż z was szanowni czytelniczy głębiej wówczas nad żabą się zastanowiło, czem jest ona, jaka jej rola w pośród żyjących organizmów, i dla czego odepchnięta i znienawidzona przez człowieka, tak szacownym jest skarbem dla czapli lub bociana lub wreszcie dla.... zoologa?

Otóż, że żaba do kręgowych zwierząt (Vertebrata) należy, do tych, do których i Ty szanowny czytelniku masz zaszczyt być przez zoologów zaliczonym — o tem niepotrzebuję mówić, to ci matka powiedziała, gdyś pierwszy raz ujrzał u nóg pełzającą żabę, powiedziała, że ona do gadów a raczej skrzeków, nie zaś do płazów należy, czyli jak dziś brzmi w naukowym języku: do *bezowodnych* (anamnia): *skrzeków bezogonowych* (Anura).

Żaba należy więc do kręgowców, które między pięciopalcowemi najdawniej już ten padoł płaczu zamieszkiwały; do skrzeków (amphibia). Dobrze przechowane skamieniałości pokrewnej gromady z *żabowatemi* (ranidae et hylidae) a raczej podgromady: *skrzeków pancernych* (Phractamphibia) znajdują się już w pokładach węgla, a mianowicie resztki *kostogłowych* (ganocephala), bardzo bliskich rybom, jak np. *Archegosaurus* z Saarbrücken i *Dentrespeton* z półn. Ameryki. Tuż dalej idą olbrzymie *zwojozębne* (Labyriuthodonta), między niemi *Zygosaurus* permskiego układu i *Mastodonsaurus*, *Capitosaurus*, *Trematosaurus* tryjasowego. Olbrzymie te potwory drapieżne wewnętrzną budową ciała były podobne do żaby i salamandry, a pancerzem zbliżone do krokodyla. Z końcem tryjasowego układu wymarły te ogromne skrzeki, nam w spuściźnie pozostawiając do dziś jeszcze żyjącego *marszczka* (Perunela), małego pancernego skrzeka.

O wiele obfitszą w żyjące okazy jest druga podgromada skrzeków, spokrewniona z żabowatemi, a mianowicie *nagich* (Lissamphibia), które prawdopodobnie już podczas drugorzędnego okresu powstały z pancernych skrzeków. Tu mamy z trzema rzędami dziś żyjących skrzeków do czynienia: z *skrzelowemi* (sozobranchia) z *ogoniastemi* (sozura) i *bezogonowemi*, czyli *kusemi* (Ecaudata, s. anura) do których właściwie należą tylko żaby.

Swiat skrzeków nagich dostarcza wiele wybitnych przykładów, jak dalece zewnętrzne wpływy oddziaływają na ich sposób życia, i jak następnie przeobrażają ich kształty.

Trytony (tritoni), skrzeki ogoniaste, pokrewne żabom posiadają jak i te ostatnie z początku swego życia zewnętrzne narządy oddechowe — skrzele; za ich pomocą żyjąc w wodzie mogą oddychać. Z wiekiem dopiero następuje tak u trytonów jak i u żab przeobrażenie (metamorfoza) i jakeśmy dawniej powiedzieli, przechodząc na ląd zamieniają skrzele na płuca. Pod tym właśnie względem wspierający Darwina teorję przedstawiają fakt trytony, które zmuszone zostały trybem życia do zachowania przez ciąg całego swego żywota skrzeli, a przez to zejścia na niższy stopień wykształcenia, który prawidłowym jest u pokrewnych im, a niżej w ustrojowości od nich stojących — u skrzeków skrzelowych (Sozobranchia). Tu nadmienić musimy, iż trytony przez to nie tracą w niczem na rozwoju ciała i możności rozpładzania się. Niemniej zasłużył na uwagę zoologów fakt, który też samą teorję wspiera, doświadczony na *axolocie meksykańskim* w przeciwny poprzedniemu sposob. Axolot, (Sereden pisciformis) skrzek skrzelowy z Meksyku był wychowywany na wielką skalę w jardin des Plantes w Paryżu, i do niedawnych czasów nie zauważano, aby kiedykolwiek tracił zewnętrzne skrzele, zamieniając je na płuca. Jest to zwierzę, choć z trytonem bardzo pokrewne, całe życie jednak przemieszkujące w wodzie, w której też się rozpładza. W paryskim ogrodzie zdarzyło się raz przypadkiem, iż z wielkiej liczby tych zwierząt niewielka ich ilość przeniosła się na suche miejsca, i tam straciwszy skrzele, przeobraziła się w bezskrzelową formę skrzeków ogoniastych, która niczem się nie różni od rodzaju trytonów, żyjących w półn. Ameryce (zwanych Amalystoma). Jest to wypadek ogromnej doniosłości —wypadek, przedstawiający nam bezpośredni przeskok od zwierząt oddychających wodą do oddychających powietrzem, a który przeciwnikom teorji zmienności gatunków wcale nie jest na rękę; Häcklowi zaś posłużył do postawienia twierdzenia, iż cała grupa żab i salamander, które podobnie co wiosnę się przeobrażają, że obie te grupy powstały początkowo ze zwierząt obdarzonych skrzelami, a pokrewnych axolotowi meksykańskiemu, że z ogoniastych skrzeków rozwinęły się bezogonowe.

Otóż czy słuchając rzekotania żab czytelniku, nasunęły ci się podobne myśli, czyś wspominał o niewiadomych protoplastach żab i wszystkich skrzeków? Gdybym ufał, że słuchanym będę bez znudzenia, to bym mógł wiele opowiedzieć o prawdopodobnych praszczurach żaby, do drugorzędnego, trzecio i czwartorzędnego okresu należących, lub podług innych już w pierwszorzędnym,w permskim perjodzie skamieniałych, lecz że to i materja jest sucha i niedowiedziona jeszcze pozytywnie, pamiętając zaś na słowa Bakona, że człowiek jest sługą i tłumaczem natury, lecz że wystrzegać się musi wygłaszania swoich mniemań w formie dogmatów, przejdę do żaby, jaką ona jest obecnie, pozostawiając sąd o jej przeszłości czytelnikowi.

Ale czyż ta zimna, głupowata natura, czyż ta szpetna kształtami żaba godna jest na tyle uwagi, aby szpalty o niej zapisywać w *Tygodniu*?!

Nie będziemy nudzić opisami kształtów tych powszechnie u nas znanych zwierząt, nie będziemy wyliczać odmian, *rzekotek* (hyla), *żab* (rana), *ropuch* (Bufo), *pętówek* (Alytes) itp. które nieznane są w kraju; zatrzymamy się tylko na chwilę nad niemi, by w ogóle dać obraz gromady bezogonowych skrzeków. Któż nie zna zielonej żabki (hyla viridis), kto jej nie widział na drzewie pod liściem ukrytej, czatującej na owad, na motylka z rozwartą paszczą, i później nagle jak kot, z błyskawicy szybkością rzucającej się jednym susem na swą ofiarę? Kto ją poznał, zna wszystkie jej odmiany, zna żaby i ropuchy, małe bowiem różnice w mięsistości języka, w jego większym lub mniejszym przyrośnięciu do szczęki, lub zupełnym braku, w uzębieniu, kształcie czaszki, i przyrządu słuchowego, długości tylnych odnóży, swobodzie palców, w ubarwieniu itp. są cechy nader ważne dla specjalisty w klasyfikacji, dla nas jednak mniejszą mają wartość, niż wiadomość ogólna o życiu i rozwoju tych zwierząt, i o ważnej roli, jaką w obec innych ustrojów odgrywają.

Z przeszło stu dotąd znanych gatunków rzekotek, u nas i w całej Europie ta jedna tylko istnieje, a znaną jest nadto z przepowiedni pogody. Mała, zaledwie półtora cala, zadziwia nas piękną, weselną swą szatą na wiosnę, która zielonej barwy na grzbiecie, białej pod spodem ciała, po bokach jest ozdobioną od skroni wzdłuż ciała, aż do tylnych nóg żółtą wstęgą w fioletowe ramki ujętą. Lecz nie długo trwa ten przepych jej stroju; jak wszystkie jej siostry i ona zmienia swą suknię, zmienia w lecie, w porze do składania skrzeku przeznaczonej na brunatną, a później nawet na siwo-niebieską z brunatnemi żyłkami. Rzekotka budzi się ze snu zimowego wcześniej niż inne krajowe żaby; zakopana na zimę głęboko w mule, już często z końcem kwietnia rozpoczyna miłosny swój koncert. Samice składają skrzek, czyli jaja wielkości wyki ziarnka w wielkiej liczbie, które masą galaretowatą powlekają i pozostawiają na los opatrzności w wodzie. Każde z tych jajek już trzeciego dnia kształt gruszki przybiera, ósmego można rozpoznać w niem dwie części, a dwunastego z grubą głową i przezroczystym ogonkiem *kijankę*, *głowacza* albo *babkę*. Wkrótce kijanka porzuca otaczające ją resztki jajka, i puszcza się samotnie w wir życia, a z nadzwyczajną zręcznością pływając po wodzie, karmi się delikatnemi częściami wodnych roślin. Już 17 dnia maleć poczynają jej skrzele, a głowa zrasta się wyraźniej z tułowiem, 29 widać tylnych nóg zaczątki, a 65 dnia kończy się zupełnie przeobrażenie, i z kijanki powstała żabka opuszcza wodę. Lecz kilku jeszcze tygodni potrzebuje ona, aby wspinać się po drzewach mogła, a kilka lat do zupełnej dojrzałości.

Z wielu gatunków najrozmaitszych skrzeków wszystkie mniej, lub więcej podobne prowadzą życie, wszystkie lenieją kilkakrotnie do roku, wszystkie podobnej ulegają przemianie, i wszystkie powstają z jajka.

Lecz nie tu koniec spostrzeżeń naszych nad żabą, nie tak chcieliśmy odmalować obraz, w którym to wstrętne stworzenie wybitną zajmuje pozycję. Posłuchajmy Lewesa, on nam dobrą w tym względzie myśl podaje. Wyrznijmy cząstkę kanału pokarmowego z żaby, umieśćmy ją na szklanej tafelce, drugą cieńszą przykryjmy i przyjrzyjmy się pod drobnowidzem, cośmy zdobyli? Oprócz tkanek ciała, kulek krwi i jej kryształów

zwraca naszą uwagę coś, z czego z początku jasnego sobie sprawozdania nie możemy uczynić. Jakieś małe, ruchome, pływające stworzenie, podobne do wymoczka — to *opalina* (opalina ranarum), spowinowacona z pasożytem żółciowego pęcherza owcy. Nie jest to wymoczek (infusorium), lecz jedna z glist w zarodkowym stanie, która oczekuje aż szczupak, lub czapla połknąwszy żabę, ją wyzwolą, i w swym żołądku nowe pozwolą założyć mieszkanie, w którem dopiero żaby opalina w doskonalszą przemieni się formę. Po bliższem przypatrzeniu się tej błędnej istocie — opalinie, ujrzemy przezroczyste, podłużnego kształtu ciało, delikatnemi i ciągle ruchomemi włoskami — migawkami (cilia) pokryte. Za pomocą tych to migawkowych rzęsów zwierzę się porusza, za ich pomocą zmienia w okoł siebie ciecz, w której przebywa, karmi się i oddycha, a tak żyjąc na koszt żaby jest w niej pasożytem i to prawie zawsze. A w czaszce tejże żaby co się dzieje, w innych jej organach? Wszędzie mnóstwo żyjących stworzeń, wszędzie cały świat istot, które ona krwią swoją, swemi sokami żywotnemi wykarmić musi. W mózgu *monady*, w pęcherzu moczowym *wieloust* (Polystomum)! Lecz skończmy ten obraz, porzućmy świat wnętrzaków, które żabę za mieszkanie dla siebie obrały; z czasem, gdy świata tego cuda opisywać będziemy, być może obszerniejsze z życia ich sceny przedstawimy, obecnie wróćmy do żaby, nad nią się zastanówmy. Już to ona oczyszczając wody z roślin i licznych legjonów robactwa, wstrętną swą lecz dla niej konieczną budową ciała, rozwojem rodowym i osobnikowym, daje nam wiele materjału do nauki, wzbudza wiele myśli w umyśle, a nadto jeszcze każe się zastanowić nad rolą, którą w świecie odgrywa, jako cała osada żywych istot! Nie wzbudzaż podziwu ta rzekoma oszczędność przyrody dla tych drobnych na ziemi organizmów, wobec hojności z jaką szafuje przestrzenią dla słońc i tych gwiazd obłoków porozrzucanych w przestworzach po nad nami, nie popycha do badań i dociekań przyczyny, dla czego tak jest a nie inaczej?! A badacz, zoolog, filozof chcąc badać, dociekać i zastanawiać się nie może wstrętnych, potwornych przed sobą widzieć istot, każda dlań materjałem, każda księgą, z której czytać musi, aby zrozumieć treść następnego tomu. Zresztą co do wstrętności żaby, to tylko jednostek pojęcia się tyczy, francuzcy bowiem smakosze, mający wprawdzie gust bociani, jedzą smażone uda żaby i twierdzą, iż te nietylko wstrętu w nich nie wzbudzają, lecz, że sam widok takowych wywołuje w nich apetyt, jak wszystkie smaczne potrawy!

Z wichrem!

Szum jesienny wichrze, szum!...
Lubię twój posępny śpiew,
Jak pogrzebnych echo dum,
Jak pożółkłą barwę drzew.
Szum jesienny wichrze, szum!

Goń jesienny wichrze, goń
Gromadami uschły liść!
Chłodem śmierci wiej na skroń,
I gdzie wszyscy mamy iść
Goń jesienny wichrze, goń!

Zimny śmiech na ustach mam,
Zimne w oku świecą łzy,
Blaski życia... już was znam!
Po za wami — wieczne mgły...
Zimny śmiech na ustach mam!

Cyt-że serce! cyt już, cyt!
Skrzepła krew już twoich ran,
A nim błyśnie nowy świt,
Wśród grobowych uśniesz ścian...
Cyt-że serce!... cyt już, cyt!...

Płacz o wichrze! jęcz i dzwoń...
Lubię twój szalony wtór,
Z duszą moją w chaos wioń,
W dziki uścisk czarnych chmur!
Płacz o wichrze, jęcz i dzwoń!

Maj 1874.

Marja B.

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Opuszczony.

Rozdział XVIII.

(Ciąg dalszy.)

(Rozmowa. — Cyrus Smith i Gedeon Spilett. — Przemysł inżyniera. — Telegraf elektryczny. — Druty. — Stos. — Abecadła. — Pogoda. — Pomyślny stan osady. — Fotografja. — Niby śnieg. — Dwa lata pobytu na wyspie Lincolna.)

— Biedny człowiek! rzekł Harbert, który poskoczywszy najprzód ku drzwiom, powrócił nazad, ujrzawszy jak Ayrton spuszczał się po linwie od windy a potem zniknął w ciemnościach.

— Powróci do nas, rzekł Cyrus Smith.

— Tam do kata! panie Cyrus, zawołał Pencroff, co to wszystko ma znaczyć? Jakto! więc to nie Ayrton wrzucił do morza butelkę? Więc któż taki?

Jeśli jakie pytanie było usprawiedliwione, to to z pewnością!

— To on, odparł Nab, tylko że biedak był już wtedy na wpół szalonym.

— Tak, rzekł Harbert, nie wiedział już wtedy co robi.

— Zapewne, że tylko w ten sposób można tę rzecz wytłumaczyć, odparł żywo Cyrus Smith, i teraz pojmuję, że Ayrton mógł podać dokładnie położenie jeograficzne wyspy Tabor, ponieważ podczas wypadków poprzedzających jego wysadzenie na wyspę, powziął o niem wiadomość.

— Jeżeli jednak, zauważył Pencroff, nie był jeszcze zupełnem bydlęciem w chwili, gdy spisywał ów dokument, i jeżeli już siedm lub ośm lat temu rzucił go do morza, jakim sposobem papier pozostał nietknięty od wilgoci?

– To dowodzi, odparł Cyrus Smith, że Ayrton o wiele później pozbawionym został rozumu, niżeli sam sądzi.

— Zapewne, że tak być musi, odparł Pencroff, inaczej nie dałoby się to wcale wytłumaczyć.

— Zapewne że nie dałoby się wytłumaczyć, odparł inżynier, który, jak się zdawało, chciał urwać całą tę rozmowę.

— Ale czy Ayrton powiedział prawdę? zapytał marynarz.

— Tak jest, odparł korespondent. Historja którą opowiedział, jest ze wszystkiemi szczegółami prawdziwą. Przypominam sobie bardzo dobrze, że dzienniki podały były swego czasu wiadomość o przedsięwzięciu lorda Glenarvana i o rezultacie tegoż.

— Ayrton powiedział prawdę, dodał Cyrus Smith; o tem nie masz co wątpić Pencroffie, prawda ta była dość srogą dla niego samego. A pewnie mówi prawdę ten, kto się sam tak oskarża!

Nazajutrz — dnia 21. grudnia — osadnicy zeszli nad brzeg morza, potem wyszli znów na terasę, lecz nigdzie nie znaleźli Ayrtona. Ayrton w nocy powrócił do swego mieszkania w oborze, i osadnicy uznali za rzecz stosowną, nie narzucać mu się ze swą obecnością. Czas, sądzili, dokona tego, czego nie mogła sprawić zachęta z ich strony.

Harbert, Pencroff i Nab powrócili do dawnych swych zajęć. Tego dnia sprowadziła także zwykła praca Cyrusa Smitha z korespondentem w warstacie założonym w „dymnikach".

— Wiesz kochany Cyrusie, rzekł Gedeon Spilett, że twoje wyjaśnienia wczorajsze co do owej butelki, nie zadowoliły mnie zupełnie! Czy podobna przypuścić, ażeby biedak ten mógł napisać ów dokument i rzucić butelkę do morza, a nie zachować o tem najmniejszego wspomnienia?

— Bo też on jej nie rzucił, kochany Spilecie.

— Więc i ty twierdzisz...

— Niczego nie twierdzę, bo nic nie wiem! odparł Cyrus Smith, przerywając korespondentowi — wypadek ten zaliczam do rzędu tych, których dotychczas nie potrafiłem sobie wytłumaczyć — i na tem poprzestaję!

— W istocie Cyrusie. rzekł Gedeon Spilett, to są rzeczy trudne do uwierzenia! Twoje ocalenie, owa skrzynia wyrzucona przez morze, przygody Topa, wreszcie ta butelka... Czyż nigdy nie znajdziemy rozwiązania tych zagadek?

— Znajdziemy! odparł żywo inżynier, znajdziemy, gdy przetrzęsiemy całą tę wyspę aż do samego jej wnętrza!

— Może przypadek podsunie nam klucz do tej tajemnicy?

— Przypadek! Spilecie! Ja w przypadki nie wierzę, tak jak nie wierzę w cuda na tym świecie. Każda rzecz, której na pozór nie można wytłumaczyć, ma swą przyczynę i tę przyczynę ja odkryję. Tymczasem baczność i praca!

Nadszedł miesiąc styczeń, a z nim zaczął się rok 1867. Roboty letnie wykonywano pilnie i gorliwie. Dni następnych, Harbert z Gedeonem Spilettem, udawszy się w stronę obory, przekonali się, że Ayrton rozgościł się był w przygotowanem dla siebie mieszkaniu. Zajmował się liczną trzodą poruczoną swej pieczy i tym sposobem miał towarzyszom swoim oszczędzić trudu zwidzania co dwa lub trzy dni obory. Ażeby jednak zbyt długo nie pozostawiać Ayrtona w samotności, odwidzali go osadnicy dość często.

Niemniej nie było to wcale rzeczą obojętną — po niektórych podejrzeniach, które inżynier z Gedeonem Spilettem podzielali, że ta część wyspy tym sposobem zostawała pod szczególnym nadzorem, a w razie jakiego wypadku, zawiadomiłby Ayrton niewątpliwie mieszkańców Pałacu Granitowego.

Mógł się jednak zdarzyć jaki nagły wypadek, o którym natychmiast należałoby uwiadomić inżyniera. Zresztą oprócz wypadków odnoszących się do tajemnicy, jaką ukrywała wyspa Lincolna, mogły się wydarzyć także całkiem

nne, wymagające natychmiastowego działania ze strony osadników, naprzykład mógł się pojawić okręt na morzu naprzeciw zachodnich wybrzeży, lub mogło nastąpić rozbicie ze zachodnich brzegów, lub mogli nadpłynąć rozbójnicy morscy itp.

Dlatego też postanowił Cyrus Smith utworzyć szybką, w jednej chwili możebną komunicję między oborą a Pałacem Granitowym.

Było to 10. stycznia, gdy swój zamiar wyjawił towarzyszom.

— Tam do licha, jakże się pan weźmiesz do tego, panie Cyrus? zapytał Pencroff. Czybyś pan nie myślał przypadkiem założyć telegraf?

— Otóż właśnie, odparł inżynier.

— Elektryczny? zawołał Harbert.

— Elektryczny, odparł Cyrus Smith. Mamy wszystko, czego potrzeba do zrobienia stosu elektrycznego, najtrudniej będzie wyciągnąć druty żelazne, ale zapomocą odpowiedniego przyrządu, mamy nadzieję, że dojdziemy do celu.

— Jeśli tak, odparł marynarz, to ja już teraz ani wątpię o tem, że pewnego dnia ujrzymy się na pociągu kolei żelaznej!

Zabrano się więc zaraz do roboty i zaczęto od najtrudniejszej rzeczy, to jest od ciągnienia drutów, gdyby się bowiem to nie udało, to nie potrzeba było fabrykować stosu, ani innych przyborów.

Żelazo na wyspie Lincolna było, jak wiemy, wyborne, a tem samem łatwo dawało się ciągnąć. Cyrus Smith zaczął od utworzenia potrzebnego do tego przyrządu, czyli drutownicy. Jest to płyta stalowa, podziurawiona stożkowemi otworami rozmaitego kalibru, które mają stopniowo nadawać drutowi pożądaną siłę spójności. Tę płytę stalową, zahartowawszy ją poprzednio do „najwyższej twardości", jak powiadają metalurgowie, przymocowano następnie niewzruszenie do podmurowania silnie osadzonego w ziemi, kilka stóp tylko od wielkiego wodospadu, którego siłę poruszającą miał inżynier jeszcze raz zużytkować.

W tem miejscu stał w samej rzeczy młyn foluszowy, który wtedy właśnie nie funkcjonował, lecz wał jego, z niezwykłą obracany siłą, mógł posłużyć do ciągnienia drutu, w ten sposób, że się tenże do koła niego owijał.

Była to praca misterna i wielkiej wymagająca staranności. Żelazo krajano naprzód w długie, wąskie sztaby, zaostrzone po obu końcach pilnikiem. Następnie sztaby te wkładano w otwór drutownicy dużego kalibru; wał, obracając się, rozciągał je do dwudziestu pięciu i trzydziestu stóp, drut utworzony w ten sposób nawijał się na wał, następnie odwijał się znowu, poczem przepuszczano go stopniowo przez otwory o coraz to mniejszej średnicy! Wreszcie otrzymał inżynier druty czterdzieści do pięćdziesięciu stóp długie, które łatwo było spajać ze sobą i przeciągać przez tę przestrzeń pięciomilową oddzielającą oborę od Pałacu Granitowego.

Kilka dni było trzeba do wykonania tej roboty, a gdy już wprowadzzną została w ruch, zostawiał Cyrus Smith swych towarzyszy przy drutach, a sam zajął się sporządzeniem stosu elektrycznego.

Co się tyczy rodzaju chodziło o to, ażeby otrzymać stos o prądzie stałym. Ogniwa dzisiejszych stosów składają się zazwyczaj, jak wiadomo, z węgla koksowego, cynku i miedzi. Miedzi zbywało inżynierowi zupełnie, pomimo wszelkich poszukiwań bowiem nie znalazł ani znaku takowej na wyspie Lincolna, trzeba się więc było obejść bez niej. Co się tyczy węgla koksowego, tego twardego grafitu znajdującego się w alembikach w fabrykach gazowych, po odwodnieniu węgla ziemnego można go było wprawdzie wytworzyć, lecz do tego potrzeba było osobnych przyrządów, co by zbyt wiele wymagało było trudu. Co się zaś tyczy cynku, to, jak sobie przypominamy, skrzynia znaleziona u Przylądka Rozbitków, wyłożona była cała wewnątrz pokrywą z tego metalu, a niepodobna było z niego lepszego, jak w tej chwili, zrobić użytku.

Cyrus Smith postanowił zatem, po gruntownej rozwadze, sporządzić stos bardzo prosty, zbliżony do stosu, który wymyślił Becquerel w r. 1820, a w którego skład wchodzi sam tylko cynk. Co do innych substancyj, mianowicie kwasu azotowego i potażu, te miał je na swe rozkazy.

Oto, jakim sposobem złożył stos elektryczny, który skutek swój zawdzięczać miał wzajemnemu na się oddziaływaniu kwasu azotowego i potażu.

Sporządzono pewną ilość flaszeczek szklannych i napełniono je kwasem azotowym. Inżynier zatkał każdą z nich korkiem, przez który przechodziła rurka szklanna zasklepiona u dołu, która miała zanurzyć się w kwasie azotowym, za pośrednictwem czopa glinianego, obwiedzionego szmatą. Do środka takiej rurki wlewał z góry rozczyn potażu, otrzymany wprzódy przez spopielenie rozmaitych roślin, i tym sposobem kwas azotowy i potaż mogły przez glinę wzajemnie na się oddziaływać.

Cyrus Smith wziął następnie dwie płytki cynkowe, i jednę z nich zanurzył w kwasie azotowym, a drugą w rozczynie potażu. Natychmiast wytworzył się prąd, który od płytki zanurzonej we flaszeczce szedł ku płytce zanurzonej w rurce, a skoro obie płytki połączone ze sobą zostały za pomocą drutu metalowego, płytka w rurce została biegunem dodatnim, a płytka we flaszeczce biegunem ujemnym przyrządu. Ile było flaszeczek tyle wytworzyło się prądów, które połączone razem, wystarczały do wywołania wszystkich objawów właściwych telegrafom elektrycznym.

Tak wyglądał przyrząd przez Cyrusa Smitha równie znakomicie jak pojedynczo wykonany; przyrząd, za pomocą którego zdołał utworzyć telegraficzną komunikację między Pałacem Granitowym a oborą.

Dnia 6 lutego zaczęto wkopywać w ziemię słupy, opatrzone szklannemi izolatorami, na których spoczywać miał drut, wzdłuż drogi wiodącej do obory. W kilka dni potem przeciągnięto drut, który gotów był z szybkością stu tysięcy kilometrów w sekundzie przeprowadzać prąd elektryczny, a prąd ten miał wracać przez ziemię napowrót do miejsca, zkąd wyszedł.

Sporządzono dwa stosy, jeden dla Pałacu Granitowego, drugi dla obory, tak by nie tylko obora komunikować się mogła z Pałacem Granitowym, lecz także, w razie potrzeby, Pałac Granitowy z oborą.

Receptor i manipulator były również konstrukcji nadzwyczaj prostej. Na obu stacjach okręcał się drut telegraficzny dokoła elektro-magnesu, czyli kawałka miękiego żelaza obwiedzionego drutem. Gdy komunikacja między obydwoma biegunami była otwartą, prąd, wychodząc od bieguna dodatniego, przebiegał drut, udzielał się elektromagnesowi, który natenczas nabierał własność magnesu. Dość więc było umieścić przed elektromagnesem płytę z miękiego żelaza, którą tenże podczas trwania prądu ku sobie przyciągał, a która za przerwaniem prądu znów odpadała. Nadawszy tym sposobem płycie możność poruszania się, z łatwością przyszło Cyrusowi przymocować do niej wskazówkę, umieszczoną na tarczy, na której wypisane było dokoła całe abecadło, i tym sposobem korespondować z jednej stacji na drugą.

Dnia 12. lutego było wszystko gotowe. Tego dnia Cyrus Smith, puściwszy prąd po drucie telegraficznym, zapytał, czy wszystko idzie dobrze w oborze, i po kilku chwilach otrzymał od Ayrtona zadowalającą odpowiedź.

Pencroff nie posiadał się z radości; co rana i co wieczora wysyłał telegram do obory, na który zawsze otrzymywał odpowiedź.

Ten rodzaj komunikacji przedstawiał dwie rzeczywiste korzyści: najpierw można było za pomocą niego przekonać się każdej chwili o obecności Ayrtona w oborze, a powtóre nie zostawiano go tym sposobem w zupełnej samotności. Zresztą nie upłynął nigdy tydzień, ażeby Cyrus Smith go nie odwidził, a i Ayrton od czasu do czasu przychodził do Pałacu Granitowego, gdzie zawsze znajdował szczere przyjęcie.

Tak upływał czas pogody wśród zajęć zwyczajnych. Zapasy osady, w jarzynach zwłaszcza i w zbożu, wzrastały z dniem każdym, a nasiona przywiezione z wyspy Tabor, przyjęły się wyśmienicie. Wielka Terasa przedstawiała widok ze wszech miar zadowalający. Czwarte z kolei żniwo wypadło świetnie, i łatwo się domyśleć, że nikt nie miał ochoty przekonywać się, czyli istotnie tegorazowy sezon wynosił czterysta miljardów ziarn. Pencroff jednak wpadł był z razu na tę myśl, ale gdy mu Cyrus Smith wytłumaczył, że gdyby liczył nawet po trzysta ziarn w minucie, czyli dziewięć tysięcy w godzinie, potrzebowałby około pięć tysięcy pięćset lat do ukończenia całego obrachunku, — dzielny marynarz uznał za stosowne odstąpić od swojego zamiaru.

Pogoda była wspaniała, a temperatura w dzień bardzo gorąca; zato wieczorem wiatr wiejący od morza studził upał powietrza i mieszkańcom Pałacu Granitowego użyczał chłodnych nocy. Było jednak kilka burz, które nie trwały wprawdzie długo, lecz zato z niesłychaną gwałtownością spadały na wyspę Lincolna. Kilka godzin bez przestanku błyskawice, jedna po drugiej, zapalały niebo i raz po raz odzywały się grzmoty.

W tym czasie małej naszej osadzie powodziło się nadzwyczaj pomyślnie. Podwórko roiło się od drobiu, nadwyżka jego szła na kuchnię, gdyż trzeba już było koniecznie zniżyć nieco jego liczbę. Nierogacizna miała już prosięta, i łatwo pojąć, że opieka nad temi zwierzętami pochłaniała wiele czasu Nabowi i Pencroffowi. Na onegasach, z których urodziły sią tymczasem dwa piękne źrebce, jeździli najczęściej Gedeon Spilett i Harbert, który pod okiem korespondenta wyszedł na znakomitego jeźdźca i zaprzęgano je także do wozu, czy to dla zwiezienia drzewa i węgla do Pałacu Granitowego, czy też kruszców rozmaitego gatunku używanych przez inżyniera.

Przedsiębrano pod ten czas kilka wycieczek aż w sam głąb boru Zachoduiej Ręki. Osadnicy mogli bezpiecznie zapuszczać się w te lasy, bez obawy aby ich nie zapadła słota lub burza, promienie słoneczne zaledwie bowiem przeciskały się przez tę gąszcz zbitą nad ich głowami. Zwidzili tak cały lewy brzeg Dziękczynnej, wzdłuż

którego ciągnęła się droga z obory do ujścia rzeki Wodospadowej.

Ale podczas tych wycieczek osadnicy byli zawsze dobrze uzbrojeni, nieraz bowiem spotykali się po drodze z dzikami nadzwyczaj zajadłemi, z któremi trzeba było staczać walkę na serjo.

W tym samym czasie wytoczono także straszliwą wojnę jaguarom. Gedeon Spilett żywił ku nim szczególniejszą nienawiść, a uczen jego Harbert podzielał ją najzupełniej.

Będąc tak uzbrojeni, nie lękali się wcale spotkania z temi bestjami. Harbert celował nadzwyczajną odwagą, a korespondent zdumiewającą zimną krwią. Więc też około dwadzieścia wspaniałych skór zdobiło już wielką salę Pałacu Granitowego, i gdyby tak dalej potrwało, rodzaj jaguarów musiałby w krótce wyginąć na wyspie Lincolna, co właśnie było celem naszych myśliwców.

Inżynier kilka razy uczestniczył w wyprawach przedsiębranych w nieznane dotąd okolice wyspy, które badał z najściślejszą uwagę. Innych on tropów niźli zwierzęcych, szukał w największych gęstwinach tych puszcz nieprzejrzanych, nigdy jednak nie wpadło mu w oko nic podejrzanego. Ani Top, ani Jow, którzy mu towarzyszyli, nie zdradzali również nigdy swem zachowaniem się, ażeby odkryli coś nadzwyczajnego, a jednak nieraz jeszcze szczekał pies nad otworem owej studni, u której inżynier przedsiębrał był bezskuteczne poszukiwania.

W tym to czasie Gedeon Spilett, przy pomocy Harberta, zdjął kilka widoków z najbardziej malowniczych okolic wyspy, zapomocą przyrządu fotograficznego, znalezionego w skrzyni, którego pierwszy raz dopiero użyto.

Przyrząd ten, opatrzony silną objektywą, był zupełnie kompletny. Nie brakowało żadnego ze składników potrzebnych do odbić fotograficznych, ani kolodionu do przysposobienia płyty szklanej, ani azotanu srebrnego do uczynienia ją czułą na działanie promieni słonecznych, ani podsiarczynu sodowego do utwierdzenia otrzymanego obrazu, ani chlorku amonu do opłukania w nim papieru przeznaczonego do zdjęcia obrazu, ani octanu sodowego i chlorku złota do nasycenia nim samego obrazu. Były już nawet gotowe papiery nachlorkowane i dość było przed położeniem ich w ramkę na obraz odwrotny, zanurzyć je poprzednio kilka minut w rozczynie azotanu srebrowego.

Korespondent i jego pomocnik wyszli wkrótce na bardzo biegłych fotografów, i zdjęli kilka pięknych widoków, jako to: widok całej wyspy, uchwyconej ze szczytu wielkiej Terasy, z górą Franklina sterczącą na widnokręgu, z ujściem Dziękczynnej tak malowniczo między wysokie skały ujętej, z łąką i oborą opierającą się o pierwsze łańcuchy góry; widok na cały przylądek Ostrego Szponu, w tak ciekawych zarysowujący się linjach, widok przylądka Rozbitków itp.

Fotografowie nie zapomnieli także zdjąć portretów wszystkich mieszkańców wyspy, nie wyjmując nikogo.

— To ludniejszemi robi te miejsca, mawiał Pencroff.

I marynarz zachwycony był swoim portretem, wiernie trafionym, który wraz z innemi zdobił ściany Pałacu Granitowego, i rad stawał, patrząc na tę wystawę, jakby na najwspanialszą w Broadway.

Trzeba jednak przyznać, że najpodobniejszym ze wszystkich był portret pana Jowa. Pan Jow przybrał pozę onej pełną niewysłowienia powagi, i obraz jego był tak podobnym, iż zdawało się, że przemówi!...

— Zdaje się, że się w tej chwili skrzywi! zawołał Pencroff.

I pan Jow musiałby był chyba być bardzo wybrednym, gdyby był nie był zadowolonym, ale pan Jow był zadowolonym i spoglądał na swój wizerunek z wyrazem dziwnie sentymentalnym, z którego przezierała lekka doza zarozumiałości.

Wielkie upały letnie ustały w miesiącu marcu. Od czasu do czasu padał deszcz, lecz powietrze było jeszcze ciepłe. Ten miesiąc marzec, odpowiadający wrześniowi na półkuli północnej, nie był tak pięknym, jakby się można było spodziewać. Zwiastował może zimę wczesną i ostrą.

Pewnego poranka — było to 21 marca — mogło się nawet zdawać, że już pierwszy śnieg upadł. W samej rzeczy Harbert, wstawszy zawczasu i wyjrzawszy przez okno Pałacu Granitowego, zawołał:

— Patrzcie no! wysepka cała przykryta śniegiem!

— Co, śniegiem? o tym czasie? zapytał korespondent przystępując do Harberta.

Wkrótce przyłączyła się do nich reszta towarzyszy, zdołali jednak skonstatować tylko to jedno, że nietylko wysepkę, lecz cały brzeg morza u podnóża Pałacu Granitowego przykrywał jednostajnie biały całun.

— Dalibóg to śnieg! rzekł Pencroff.

— Lub coś bardzo do niego podobnego! odparł Nab.

— Lecz termometr wskazuje pięćdziesiąt ośm stopni (14° Cel. powyżej zera) zauważył Gedeon Spilett.

Cyrus Smith w milczeniu spoglądał na ten biały całun, nie wiedział bowiem jak wytłumaczyć to zjawisko o tej porze roku i przy tej temperaturze.

— Do kroćset djabłów! zawołał Pencroff, nasze plantacje pomarzną!

I już marynarz miał zejść na dół, lecz ubiegł go w tem Jow, który czemprędzej spuścił się po linwie do sieni.

Lecz zanim jeszcze orangutan dotknął stopą ziemi, gdy nagle cała ta olbrzymia płaszczyzna śnieżna wzbiła się do góry i zatrzepotała w powietrzu taką niezliczoną ilością białych ptaków, że przez kilka minut ściemniła wśród nich tarcza słoneczna.

— To ptaki! zawołał Harbert.

Była to w samej rzeczy ćma morskiego ptactwa o śnieżnych, połyskujących piórach. Krociami obsiadły były wysepkę i brzeg morza, i teraz znikały w oddali, zostawiając osadników pogrążonych w zdumieniu takiem, jakgdyby na jakiem widowisku czarodziejskiem, w skutek sztucznej zmiany dekoracji, ujrzeli nagle zimę przemienioną w lato. Na nieszczęście zmiana ta nastąpiła tak raptownie, że ani korespondent, ani Harbert nie mieli czasu ubić chociaż jednego z tych ptaków, których gatunku nie mogli rozeznać.

W kilka dni później, dnia 26. marca, upływało dwa lata, jak rozbitki napowietrzni wyrzuceni zostali na wyspę Lincolna!

(C. d. n.)

Pogadanki.

II.

Najłatwiej teraz spłacić dług konwersacji, który na każdego z nas spada w towarzystwie, przyłączając się do chóru narzekań na mrozy, na zamiecie, na złe piece, na złych murarzów, którzy je stawiają, na złych właścicieli domów, którzy każą sobie płacić drogo za złe pomieszkanie, na zły magistrat, który egzekwuje bez miłosierdzia dodatek czynszowy, a utrzymuje złe chodniki w złym stanie, i na wszystko złe w ogóle, które sprowadza zła zima. Na nieszczęście moje, nie mogę wszakże bawić czytelników tym przedmiotem, a to najpierw z powodu, iż zajmuje on ich i bezemnie więcej niż by sobie życzyli, a powtóre, ponieważ ja z mojej strony stanowię tutaj rzadki bardzo wyjątek: cieszy mię tegoroczna zima. Mam jej tylko jedno do zarzucenia, a mianowicie to, że jest z b y t późną, krótką, i łagodną. Chciałbym ażeby trwała dwa lata bez przerwy, chciałbym ażeby ciepłomierz rtęciowy nie odtajał nawet w samo południe, a wyskokowy ażeby wskazywał najmniej 40° Cels. Chciałbym, ażeby piece nie były wynalezione, ażeby śnieg spadł najmniej na jakich tysiąc stóp wysokości, ażeby jeden centymeter sześcienny paliwa kosztował tyle co krystalizowany węgiel, tj. brylant, równej wielkości, i ażeby podniesiono dodatek czynszowy do sumy przenoszącej roczny dochód lokatorów. Powie kto może, że jest to życzenie równie nieludzkie jak nieroztropne, albowiem gdyby się ziściło, to ja sam przecież padłbym ofiarą zimy wraz z innymi. Tymczasem rzecz ma się inaczej, co do mnie; czuję bowiem, że już i obecnych mrozów nie wytrzymam dłużej, a skoro mam zamarznąć, nic mi to nie szkodzi, że będzie potem jeszcze większe zimno. Co się zaś tyczy nieludzkości mojego życzenia, to muszę oświadczyć, że od najmłodszych lat znienawidziłem i nienawidzę dwóch gatunków ludzi: tych, którzy chcą leczyć każdy rodzaj bolu głowy zimną wodą, chociaż wiedzą, że środek ten wzmaga nieraz ból do najwyższego stopnia, i tych, którzy utrzymują, że najzdrowszą i najprzyjemniejszą porą roku jest mroźna zima. Tamtym życzę wiecznej migreny i zimnych tuszów na nią, a tym, tego wszystkiego, co powyżej wyliczyłem. Niechaj doznają pożądanej „przyjemności“ w całej pełni, i niechaj im wyjdzie na „zdrowie.“ Niechaj ich północ obsypie swojemi darami, jak Bolesław Śmiały złotem owego księdza, co spoglądał pożądliwie na skarb królewski. Wiadomo, że ksiądz ten podźwigał się i umarł, i wiadomo także, że Bolesław II rozpocząwszy wymiar sprawiedliwości na wikarych, skończył go na biskupach. Mianowicie nie lubił on, ażeby biskupi utrzymywali związki z jego nieprzyjaciołmi, i jednego z nich za związki tego rodzaju przeniósł własnoręcznie w poczet umarłych, co było wszakże zbyt sumarycznem postępowaniem w sprawach karnych, jak twierdzi współczesny kronikarz, dodając: *neque traditorem episcopum excusamus, neque regem, sic turpiter se vindicantem commendamus*, co znaczy: Ani nie uniewinniamy zdradzieckiego biskupa, ani też pochwalamy króla za jego haniebną zemstę. Pisał to ksiądz, bo wówczas świeccy pisać nie umieli. Dalszem następstwem było, że król trapiony wyrzutami sumienia odpokutował dobrowolnie świątobliwem klasztornem życiem swój czyn porywczy.... Wracając atoli do kwestji upragnionego mi wymrożenia przyjaciół i zwolenników zimy, nadmienić jeszcze muszę, że udzielę im amnestję

pod warunkiem, ażeby odwołali solennie wszystkie swoje bluźnierstwa przeciw wiośnie, latu, a nawet i dżdżystej jesieni, i ażeby prosili Boga o jak najrychlejszą odwilż. W przeciwnym razie użyję całego wpływu, jaki jeszcze mam w niebie, i całego wpływu jaki tam może mieć dziennikarstwo krajowe, ku przemienieniu bluźnierców w stalaktyty lodowe i zasypaniu ich taką „ponową,“ jakiej najstarszy myśliwy nie widział.

* * *

Mówią, że już się zaczęły zapusty, ale pogłoska ta potrzebuje jeszcze potwierdzenia. Doszła mię dotychczas tylko wiadomość o festynie ludowym (tak stoi dosłownie w *Gazecie Narodowej*) który miał się odbyć w dzień Trzech Króli na stawie Panieńskim. Biedny lud, niezbyt powszechnie zaopatrzony w obuwie, ma, nie wiem za jakie grzechy, produkować się w wyścigach na lodzie. Przypuszczam, że uczestników sprowadzać będą na staw Panieński za pomocą fizycznego przymusu, bo nie znam nikogo z ludu, coby tam poszedł dobrowolnie. Jeżeli jeszcze ostatnia iskierka miłości bliźniego nie wygasła w piersi prawodawców naszych, powinniby zabronić tej barbarzyńskiej praktyki. Niechaj ci co mają futra, papucie i sanki, sami wyprawiają festyny w owej dolinie za Cytadelą, w której świszcze najdokuczliwszy ze wszystkich wiatrów,

„Lecz nie nęcić polski lud,
Żeby boso szedł na lód!“

A może to była pomyłka, i festyn „ludowy“ pojawił się w ogłoszeniu tylko jako wierny przekład niemieckiego *Volsfestu?* Bądź co bądź, niechaj mi wolno będzie przy tej sposobności powinszować pp. lekarzom i aptekarzom znacznego powiększenia przychodów, jakie z tąd wyniknie dla nich. Nie dziwiłbym się, gdyby członkom komitetu łyżwiarskiego nadano *ad honores* tytuły doktorów medycyny i magistrów farmacji, jako ludziom zasłużonym około stanu lekarskiego. Ile to będzie zapaleń, fluksyj, kaszlów i katarów, ile rąk, nóg, oczu, uszu i nosów odmrożonych!

Zresztą, mało jest ruchu. Towarzystwo muzyczne grozi sześcioma wieczorkami, a p. Gordon nową książką p. t. *Pamiętniki Literata.* Z innej strony słychać, że jakiś *literata* ma zamiar pisać *Pamiętniki Bayarda.* Słychać także, że w jakiemś piśmie pojawiła się replika poetów lirycznych na mnogie przeciw nim wymierzone pociski, i to, prozą — lirycy przypuszczają bowiem, że świat dzisiejszy w bezdusznem swojem spodleniu nierymowaną niedorzeczność przebaczy łatwiej od rymowanej, czego zresztą w istocie mamy przykład na wielkim jednym prozaiku „naszym,“ z którego ludzie nie śmieją się tak powszechnie jak z gędziebnych i piewczych popisów teraźniejszej dziatwy Apollina, jakkolwiek ten rodzaj uznania należy mu się po wszelkiej słuszności. Żałuję, że nie znam pisma, o którem wspomniałem, radbym bowiem przeczytać wywód, jakim sposobem produkcja stukilkudziesięciu wierszy rocznie ma do tego stopnia absorbować dane indywiduum poeciaste, by je aż czyniła niezdolnem do zajęć, z których pożytek byłby mniej wątpliwym? Jeżeli poeta ma natchnienie, to nie da mu ono spoczywać całemi miesiącami na wawrzynach zdobytych jednym małym i nic nie znaczącym wierszykiem, a jeżeli nie ma natchnienia, to niechaj obok mozolnego klejenia dzieł niepotrzebnych weźmie się do klejenia ułatwionego wskazówkami dobrego majstra, tj. niechaj zostanie czeladnikiem introligatorskim lub stolarskim, albo afiszerem.

* * *

Pewne pismo żydowskie opowiadało niedawno o zdarzeniu, kióre byłoby zdolnem obudzić na nowo gasnącą już nieco wiarę w Izraelu, gdyby nie było prawdziwie po amerykańsku zmyślonem. Za kordonem umierał jakiś Abramko, dajmy na to, Perlstein, a w Zjednoczonych Stanach kończył żywot doczesny drugi Abraham, dajmy na to, Readymoney. Nietylko umierali i pomarli obydwaj w tej samej chwili, ale nad obydwoma pobożni i świętobliwi rabinowie zanosili tak gorące modły do nieba, że Jehowa zmiękczony wysłał anioła, ażeby z progu wiekuistej szczęśliwości zawrócił obydwie dusze do ciał opuszczonych na tym padole płaczu. Otóż anioł musiał być trochę roztargnionym, i niedokładnie wypełnił rozkaz, albowiem pomieniał dusze obydwu Abrahamów. Teraz Abramko Perlstein w Jarmolińcach nie może rozmówić się ze swoją *Feigeleben,* ani ze *stanowym prystawem,* bo umie tylko po angielsku i twierdzi, że jest obywatelem Zjednoczonych Stanów (*wot! miatieżnik!*) podczas gdy Master Abraham Readymoney zadziwia Yankeesów płynnością, z jaką włada dyalektem Szomer-Izraela, ale nic od nich wyszachrować nie może, bo już to co Ameryka, to nie Polska.

Podobniuteńki wypadek zdarzył się we Lwowie, i to w dystyngowanych kołach politycznych, ale z tą różnicą, że tylko jedna dusza znajduje się w fatalnem położeniu obydwu Abrahamków. Oto niedawno usnął tu po niedługiem, ale bardzo spokojnem życiu, w zaciszy domowego ustronia, pewien klub polityczny. Gdy go niestało, krewni, przyjaciele i znajomi przez dłuższy czas wcale nie postrzegli straty, ale nakoniec jeden z pomiędzy wielu przypomniał sobie, że był gdzieś jakiś klub, i że go już nie ma. Udzielił zaraz tego odkrycia innym, i nastała ogólna konsternacja, przybierająca chwilami rozmiary rozpaczy. W jednym z takich paroksyzmów przyjaciele nieboszczyka udali się do tutejszego biskupa bezwyznaniowego, i po kilku bezowocnych usiłowaniach uzyskali u niego audjencję i wyłuszczyli mu przyczynę swojego smutku. Mąż ich nadziei powstał tedy z łoża, w którem zazwyczaj przebywa, i włożywszy okulary, rozpatrzył rzecz dokładnie i kazał im odejść i ufać. Następnie zostawszy sam, rozmaitemi gusłami zaklął atomy, które jak wiadomo świat ten stworzyły, jako też bąbelki, vulgo komórki, w których tkwi zaród organicznego życia, i uciekł się pod obronę elektryczności, magnetyczności, ciepła i światła, ażeby za ich przyczyną sprowadzić na powrót duszę klubu z niezajętej przez atomy przestrzeni w przynależne ciało. Dusza wróciła też natychmiast, ale nie mogąc znaleść swojego ciała, które rozprószyło się było tymczasem, a znalazłszy natomiast niezajęty przez żadną inną duszę lokal w redakcji pewnej *Gazety,* wlazła w niego i pokutuje teraz po rozmaitych artykułach politycznych, wznawiając myśli i projekta, które miała za pierwszego swojego życia. Gdy jej atoli zrobiono uwagę, iż to są myśli i projekta klubu, sprawdziło się na niej twierdzenie fizjologów, iż defekta fizyczne wywierają wpływ konieczny na nasze władze moralne. I tak, gdy nieboszczyk klub przemawiał zawsze językiem przyzwoitym i dyplomatycznym, dusza jego, zapewne dzięki jakimś guzom lub innym prawidłowym naroślom w organizmie *Gazety,* poczęła wzbogacać język piśmienny polski „*kubek w kubek*“ takiemi samemi zwrotami, jak „*pięść do nosa*“ do niego podobnemi, jakich używała *Gazeta* przed wstąpieniem w nią obecnej lokatorki. Innemi słowy, *in re* jest to klub, ale *in modo*... matka panny Angot. I to jest najnowszy nadnaturalny wypadek we Lwowie, który polecam uwadze autora drukującej się w „Tygodniu“ zajmującej rozprawy o magnetyzmie zwierzęcym i jasnowidzeniu.

Jan Lam.

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI.

Kilka słów o jego życiu i dziełach na tle spółczesnej chwili

przez

ADAMA KULICZKOWSKIEGO.

(*Ciąg dalszy.*)

Celniejszym pod względem artystycznego wykończenia jest nieco wcześniejszy od „Chorążego“ utwor pt. „*Chart Watażki.*“ Jest to wcale udatna gawęda sędziwego towarzysza z kresów ukraińskich. Staruszkowi miło wspomnieć:

Jak na kresach to się żyło;
W dzień podjazdy, pohulanka;
Często gęsto krwawy taniec,
Gdy się zbliżyć śmiał pohaniec —
A po tańcu, znów wieczorem
Przy ognisku, przed futorem,
Szła ochoczo pogadanka...

Owoż ten towarzysz kresowej drużyny z watażką pojechali raz na polowanie na szaraka. A miał watażka konia rączego, co tak latał, jak jaskółka nie lata, i charta — ale jakiego!

...Ej! wiesz, bracie,
Wyobraźni tej nie macie,
Wiek po wieku w dal odpłynie,
Ba! co mówię! i świat zginie —
A nie znajdzie się bestyja,
Jak był chart ten. — Zwał się Zmija.
Co za przemysł! polot jaki!
Pojedynkiem brał szaraki,
Lisa, panie, brał z wertepu,
W stepie bujał, jak król stepu.

Z tym to chartem pojechali tedy na łowy. Ale gracz szarak nie dał się schwycić;

Ile razy chart przypada,
Zając umknie, wytnie susa
I umyka bieda kusa.

W pogoni przybyli na kresy. Roztoczył się przed nimi step szeroki, jak tylko okiem zasięgnąć. Jeszcze w umyśle i przed oczyma miga im ów kot ladaco, aż tu z koczowiska tatarskiej ordy lecą strzały i szumią koło uszu. Przystanęli — dobyli pistoletów i czekają. Ba! nie jeden, nie dwóch Tatarów się zjawia — przybiega ich cała moc i bój się rozpoczyna. Mimo największego męztwa nie dokaże jednak dwóch nic przeciw kikudziesięciom. Choć wielu położyli trupem, nie zdołali przecież wybić się na wolność — i poszli w jasyr...

Hej, mój bracie! och, to boli,
Kiedy wolny jest w niewoli,
Kiedy ręce ma związane...
O! wolałbym w serce ranę
Od zatrutej dostać strzały,
Bo człek przecie ginie wolny;
Tu żyć musi, żyć niezdolny;
Z bolu piersi nam pękały...

*

Była noc w obozie tatarskim, kiedy te smutne myśli nachodziły jeńców polskich. Wszystko spało, nawet czaty. Oni tylko nie spali. Słuchają: chart, co zająca tropiąc, zgubił się był w czasie walki, teraz przez komysze się przebija. Watażka gwizdnął z cicha, a pies, gdy usłyszał gwizdanie, jak da susa! — przesadził czahary i stanął u nóg pana. Nuż skomlić, łasić się;

— — a watażka
Podał ręce skrępowane
I popatrzył się psu w oczy.

Pies do pana był przywiązany, wierniejszy może od najlepszego przyjaciela, a przytem taki rozumny jakby ludzką miał duszę! Więc gdy popatrzył na więzy pańskie, zesmutniał. A potem?

Ręce wąchał — stał ponury...

Łatwo odgadnąć co nastąpiło.

Chart zębami szarpał sznury,
Gryzł, rwał, kąsał — przegryzł wreszcie!

Watażka wolny uwolnił towarzysza. Dosiedli koni, zrąbali czaty szablami, pomknęli jak błyskawice i stanęli w futorze.

Wykończonem w szczegółach i prawdziwemi pięknościami błyszczącem opowiadaniem jest *Śpiewak z oazy*. Widać w tym utworze, że młody poeta stał się już zupełnym panem formy, a mianowicie, że się wtajemniczył w uroki języka, który w *Chorążym* okazywał się widocznie jako narzędzie niezupełnie jeszcze ograne w jego ręku, a tu i ówdzie raził nawet nieforemnościami gramatycznemi i błędami. *Śpiewak z oazy* jest powieścią takich prawie rozmiarów, jak *Chorąży*, lecz o wiele doskonalszą mimo krótkości czasu, który przedziela obydwa utwory. Osnowana jest na tle świata i życia Wschodu.

Poeta wprowadza nas na rozległą pustynię Arabistanu. Jesteśmy w bliskości palmy, zielonowłosej córy oazy, co

...cień posępny ścieląc na głazy,
Jak Beduinka w mirtów koronie,
Wonnemi kwiaty ubrała skronie.

Na cichej zwykle i jak śmierć posępnej przestrzeni piasku widać tumany kurzawy. Czy to wicher wznosi te bałwany na morzu piaszczystem? Nie! pochodzą one od karawany, wracającej z dalekiej pielgrzymki, bo aż ze świętej Mekki. Przybywający jeźdźcy z radością witają zieloną ustroń, bo ona da im chwilę wypoczynku wśród mozolnej i przykrej podróży. Orszak pielgrzymi składał się z kilku młodych Beduinów, ubranych w skromne „hassalów“ szaty, i ich ojca, sędziwego staruszka. Młodzieńcy są pełni miłości dla starca, każdą chwilę radziby mu z serca uprzyjemnić.

Dla ciebie, ojcze, uścielim łoże
Z miękkiego liścia pod palmy temi;
Pod siwą głowę szatę ci złożę,
A my usiądziem w okrąg na ziemi,
Powieści stare sen nam odgonią,
I będziem czuwać nad twoją skronią....

Ale same skazki, choćby najcudniejszego uroku, choćby z „Tysiąca nocy i jednej“ wyjęte, nie zastąpią przecież pieśni, która na swoich skrzydłach unosi dusze w nieziemskie światy. Może żaden naród na świecie nie ukochał jej tyle, jak Arabowie.

Życie bez pieśni... cóż ono warte?
Kiedy przed nami niebo otwarte
Brylantowemi migoce skrami,
Słodko się oko poi gwiazdami;
Lecz gdy pieśń przy tem w serce zapuka,
Ono już w niebie aniołów szuka,
I myśl się pyta: jak żyć potrzeba,
Aby zamieszkać kiedyś te nieba?...

O! śliczna musi być ta poezja na łonie cichej przyrody, przy świetle gwiazd jasnych! Między naszymi pielgrzymami nie było jednak piewcy... Interesującą w tem gronie figurą jest starzec, Selim z nazwiska. Cierpienie wielkie wypiętnowało się na jego obliczu, a smutek zastąpił wrodzoną niegdyś żywość. Co rok, włożywszy na siebie szaty pokutne, odbywa on tę drogę do świętej Mekki w towarzystwie synów; co roku, od lat wielu, łzą żalu czy skruchy skrapia zwiędłe jagody. Jakaż wina ciężka zaległa na jego przeszłym żywocie?... Oto sam mówi zagadniony:

Nie pytaj synu! wy wiecie o tem,
Że na nas cięży zemsta Hassana,
Może tu przybiedz piorunu lotem
I śmierć nam przynieść z prawicy Pana;
Wszak ja mu w walce zabiłem syna!...

Nie tylko ta jedna zbrodnia obarcza jego sumienie. Jakaś przewina względem rodzonego brata dopełnia jeszcze miary obecnych cierpień. A straszną ta wina tajemnicza być musi, skoro pokutnik na samą myśl o niej w cichej modlitwie do Boga się odzywa:

. . Allahu, Panie!
Wstrzymaj za brata srogie karanie,
Bo jeszcze śmierci straszliwą drogę
Z duszą nieczystą przebiedz nie mogę!

Zaledwie Arabowie przybyli do oazy, wyszedł z palmowych cieni na ich powitanie starzec, ofiarując podróżnym gościnę pod białym swoim namiotem. Zamieszkał on od lat wielu ten kąt samotny na stepie; uciekłszy od ludzi, przywiązał się do tych drzew kilku i do tego źródła czystej wody, które ożywiało to zielone śród puszczy ustronie, a wreszcie do najwierniejszej towarzyszki obecnej doli, do ukochanej lutni, której dźwiękami rozweselał sobie teraz posępne sieroctwo, tak jak niegdyś koił niemi ciężkie bole serca. Piękniejszą jednak była kiedyś jego młodość.

. . . Byłem pierwszy z braci,
Przymiotem duszy i kształtem postaci,
Szybki jak sokół w walce lub igrzysku;
Wróg pierzchał hardy od mej szabli błysku,
Lub zginał czoło i o pokój błagał...

Mimo rycerskości nie był on przecież dzikim, ni zuchwałym; nie pożądał sławy, wykwitającej ze krwi rozlanej przeciwnika. Ideałem jego była pieśń wyśpiewana, a w męskiej piersi biło serce czułe, wrażliwe na uroki pięknych oczu.

Jeśli wam znane Mekkańskie zabawy,
Kiedy przy blasku wieczornym fingary *)
Płyną rozdźwięki czarownej gitary,
I tysiąc dziewic w rajskiem upojeniu
Drżą przy pieściwem każdej struny brzmieniu,
Którą dłoń pierwej w zachwycie porusza,
Tam! tam bujała moja młoda dusza...

Dla młodzieńca były te chwile pełne roskoszy, czarujące. Po każdej pieśni we wdzięcznym upominku rozmarzone dziewice

Rzucały kwiaty na śpiewaka skronie...

Jedna z tysiąca słuchaczek przypadła do serca czułemu pieśniarzowi. Ale miłość, choć ognista i wzajemna, wydała dla bohatyra powieści naszej w skutku swoim nader cierpkie owoce i stała się powodem jego obecnej smutnej doli. Jakim sposobem do tego przyszło, zobaczymy zaraz. Tymczasem przypatrzmy się prześlicznemu porównaniu, jakiem starzec gościom swoim skreślił miłośne cierpienia swojej młodości:

Serce zranione jest jak owa róża,
Którą wiatr w piaskach pustyni zanurza;
Spalona żarem chociaż życie traci,
Nie zmienia barwy, ni cudnej postaci,
Tylko listeczki uwiędłe nagina,
I cichym szeptem, że żyła, wspomina.

O tak! i życie jego, zanim się gwałtowne bole skrystalizowały do cichego szeptu, do łagodnego tylko wspomnienia namiętnej przeszłości, musiało przejść przez wszystkie stopnie strasznej serca zawieruchy. Zwątpił o ludziach, o braci, o wielkim Proroku, nawet o Bogu — a świat cały wydał mu się niby

. . . jednym głazem
Wykuty z zimnym szyderstwa wyrazem.

Nawet powiernica poetycznej duszy, tyle dotąd ulubiona gitara, nie mogła go długo rozweselić. Szukał wprawdzie nieraz pociechy w pieśni, ale narzędzie muzyczne, dotknięte ręką mistrza, zamiast dawać ukojenie, budziło w sercu jego tylko strunę boleści; więc porzucał granie, aby nie powiększać cierpienia. Przyszedł wreszcie w pomoc nieszczęśliwemu czas, najlepszy z lekarzy na bole serdeczne. Wygasły powoli ognie namiętne, a pozostało jedynie ciche, rzewne wspomnienie. I teraz ta sama gitara, która dotąd zdawała się zawsze tylko coraz bardziej rozraniać cierpiącą śpiewaka duszę, gdy zagrał na niej, stawała się dlań niekiedy źródłem, jeżeli nie roskoszy, to przynajmniej szczerej pociechy. Samotnik w swojem ustroniu, rzadko jednak potrącał czarodziejskie jej struny; ale gdy się zdarzył gość jaki, na którego pofałdowanem licu cierpienie wypiętnowało swoje znamiona, wówczas rozczulał się i plótł mu smutną kassydę swego żywota, jako krewnemu bolem, jak bratu...

(C. d. n.)

Listy z Wenecji.

Wenecja dnia 28 grudnia 1875 r.

Pisząc z Wenecji, nie sposób ominąć najżywotniejszej dziś tu kwestji, która wszystkich jej mieszkańców żywo zajmuje, gdyż śmiało powiedzieć mogę, że się tu waży na szali: byt lub zupełna zaguba tej dawnej Dożów stolicy.

Od dawniejszych czasów Republiki jeszcze, znaczne robiono pieniężne wkłady, dla odwrócenia koryta rzeki Brenty, jak i innych rzek, od lagunów, które nanosząc z sobą muł i piasek, mogłyby z czasem zmienić laguny na błotniste bagno. — Co rocznie zatem szły na ten cel znaczne sumy z kasy państwa — z funduszów przeznaczonych na utrzymanie portów i kanałów, do których to kosztów, w części tylko obowiązane były należeć sąsiednie tych miejsc komuny. Od roku 1867 — epoki w której prawa włoskiego rządu zostały tu wprowadzone, o kwestji tej nie było mowy. W tej chwili niespodzianie, z ministerjum przyszło wezwanie do prefektury tutejszej, by komuna Wenecka zapłaciła 450.000 franków, jako zwrot wydatków dopełnionych z kasy państwowej, na utrzymanie jej portów i kanałów od roku 1867 do 1874, nie licząc w to jeszcze roku

*) latarni.

1872. z którego wydatki obliczonemi jeszcze dokładnie nie zostały. Suma dość znaczna, lecz mniejsza o rachunki z przeszłością, gdy stokroć straszniejsza mara przyszłości stanęła dziś przed oczyma, bo, by ocalić laguny i umocnić odwrót rzek od nich, potrzeba na nowo rozpocząć roboty, gdyż długi czas i wylewy zupełnie je prawie zniszczyły. Do uskutecznienia tych robót, wedle obliczeń inżynierów, potrzeba około 12 miljonów. Rząd takiej sumy dać nie chce i po części nie może. W parlamencie, gdzie kwestja ta podniesioną została, dają się słyszeć głosy „Le lagune sono destinate a perire“, że laguny są przeznaczone na zatratę. Tym czasem w oficjalnym raporcie wypracowanym dla „Consiglio provinciale di Venezia“ radny miasta Minich dowodzi, że przy przypływie codziennym morza, w samym porcie Malamocco przybywa w sześciu godzinach, na każdą dobę 60 miljonów metrów kubicznych wody, która się z tamtąd w laguny rozlewa, przypływ więc tutaj jest olbrzymi. Ileż by zatem potrzeba było czasu, by przy takiej sile morskiego żywiołu, sam namuł rzeczny, był w stanie laguny osuszyć? i choć po latach wielu byłby w sile, w ląd suchy je zmienić, ileż by jeszcze lat przeszło, w których laguny jednem bagniskiem tylko by były! A rzecz powszechnie wiadoma, że w miejscach gdzie ustępuje morze a formuje się tak zwane „Paludi“ (bagna) zawsze w tych miejscach powstaje malaria, w skutek czego życiu grożące febry i nie unikniona śmiertelność. Miła więc perspektywa dla mieszkańców Wenecji, lecz jeszcze straszniejsza dla samego miasta Mieszkańce ratując życie, miasto opuszczą, a świetne pałace i dawne Dożów mieszkania, gruzami staną śród bagnisk.

Przed grozą takiej przyszłości, Wenecjanie dziś radzą o środkach zażegnania złego Weneckie dzienniki, co dzień prawie, długie piszą o tem rozprawy, zachęcając ogół mieszkańców, do czynnego wystąpienia, w obec grożącego niebezpieczeństwa, ubolewając że w gronie Weneckich mieszkańców, mimo tak bogatych jak Książe Giovanelli i Papadopoli, nie znajduje się żaden taki jak Duca di Galliera, który obecnie, na port w Genui, ofiarował 20 miljonów franków, dar nie lada, i nie każdy kraj takim obywatelem poszczycić się dziś może. Król włoski, w uznaniu tak szlachetnej ofiary dał mu order Annunciaty. Miljonerzy tutejsi milczą dotąd na wszystkie te odezwy, jeden tylko Mocenigo, potomek dożów rodziny, znany tu i poważany powszechnie, pierwszy się w tej sprawie odezwał, i w miarę swych funduszów, ofiarował na ten cel 5 tysięcy fr. zachęcając, by każdy wedle swej możności poszedł za jego przykładem. Spodziewać się należy że postępek Moceniga znajdzie naśladowców. Powiadam, spodziewać się należy, bo znając społeczeństwo włoskie, wiem, że Włoch z natury nie będąc rozrzutnym, nie jest zupełnie skorym w niesieniu własnych pieniędzy na ogólne cele.

Każdy prawie Włoch ma głębokie poczucie artyzmu w swej duszy, sztuka go unosi i porywa, lecz w chwili nawet poetycznego zachwytu, trąć tylko o stronę materjalną, znajdziesz w nim innego człowieka; uniesienie i zachwyt ustąpią przed stroną praktyczną życia. Dla tego tu zawsze znajdziesz artystów i malarzy, jak również i publiczność, z wrodzonem zda się poczuciem umiejętności ocenienia tego co piękne, lecz nie wiele tu spotkasz obywateli kraju gotowych nieść swe prywatne fundusze w ofierze na cele publiczne. Z księcia di Galliera nie można brać miary o całem społeczeństwie. Artyzm i sztuka kwitły i kwitnąć nie przestaną tu jeszcze, gdzie w całym narodzie jest tyle jej poczucia, tyle czci i umiejętności w przechowaniu jej pamiątek, które także rozbudzać i wykształcać to poczucie potrafią. Nie sposób więc, by to pole sztuki i artyzmu od wieków tak tu płodne, i teraz jeszcze, wciąż nowych nie wydawało owoców, nie tak mistrzowskich może, lecz zawsze godnych podziwu. W każdej gałęzi sztuk pięknych, z nowych a cennych rzeczy, miało by się dość do zanotowania; tak na polu literackiem jak i w malarskim świecie, ciągle coś nowego przybywa. Tego roku, w zimowym sezonie, w teatrach włoskich 50 nowych zupełnie oper ma być przedstawionych. W Bolonji dawano już w Teatro Comunale, nową operę „Luce,“ przez Maestro Gobbati. W tutejszym Fenice, także jest parę nowych zapowiedzianych, Teatr Fenice otwierają tu zawsze dopiero drugiego dnia świąt. Byłem na pierwszem przedstawieniu, tłum zaległ wnijście, docisnąć się było trudno, miejsca w teatrze wszystkie zajęte. Przedstawiono „La Contessa di Mons“ opera przez Lauro Rossi, dyrektora konserwatorium Neapolitańskiego, twórcy opery „I Falsi Monetari“ i tylu innych. Treść opery jest wziętą z „Ojczyzny“ pana Sardou. Mojem zdaniem, treść ta nie nadaje się tyle do opery, co do dramatu, to też i opera cała nie oddaje tak silne dramatyczności utworu, jak mieliśmy sposobność widzenia tego w dramacie. O muzyce pewnie już wiecie z innych sprawozdań, bo opera ta zeszłej zimy przedstawioną już dyła w Turynie. Po operze był balet „Ermanzia“ ułożony przez Piatesi, o którym śmiało rzec można, że jest wspaniałym, tak w dekoracje, stroje, mechanizm, jak również w pobudzaniu, od pierwszej do ostatniej chwili, z całą umiejętnością, uwagi widza, ciągle nowemi i coraz wzrastającemu w efekta obrazami, które się kończą prawdziwie mistrzowskiem przedstawieniem uczty we wspaniałej grocie, która nagle zostaje wodą zalana, a spływające jej fale łamiąc się wśród rzęsistych świateł, zapominać każą że to jest sztuka tylko. Oryginalne robi także wrażenie widok na scenie włoskiej czamarek, konf dratek i włoszek w kontusikach, bo baletu część pierwsza przedstawia wieś polską, i rzecz w Polsce się zaczyna, zkąd polskiego szlachcica po całym świecie oprowadzają, i pod gorącem słońcem równika spotykasz go jeszcze w czamarze obłożonej futrem, lecz i tam jeszcze dać sobie rady umie, bo zemstą uniesiony wszystkich wraz z sobą w grocie zatapia. W teatrze Goldoni i w teatrze Malibran dają obecnie bardzo dobre operetki. Codziennie miejsca wszystkie zajęte. Jedyną ulubioną rozrywką Włochów jest teatr i na to nie żałują nigdy, wprawdzie i ceny drugorzędnych teatrów bajecznie są tanie, bo za franka, to jest 40 waszych grajcarów, można mieć krzesło i słyszeć „Piękną Helenę,“ daleko lepiej wykonaną, jak dawniej ją widziałem przez Niemców we lwowskim teatrze. W tetrze Rossini, towarzystwo Pietriboni, jedno z lepszych, daje szereg komedyj—i tam także pełno zawsze, bo gra wyśmienita artystów, zwabia tam i wyższe warstwy społeczeństwa.

W teatrze la Scala w Medjolanie dawać mają „la Messa di Verdi“ i operę „I. Vespri“ (Nieszpory), co podało myśl dziennikowi „Il Trovatore“ do umieszczenia następującego epigramu:

Del massimo teatro sul nuovo cartellone
La predica sol manca e la Benedizione.
Omai la Scala e il Duomo son una cosa istessa,
Perchè in entrambi avremo i Vespri e la Gran Messa!

(W słynnego teatru afiszów dykcji
Kazania brak tylko i Benedykcji.
La Scali i katedry wspólne będą tory,
Bo w nich obu mieć będziem i Mszę i Nieszpory!)

Edmund L....

Piśmiennictwo polskie.

(*Uwagi do str. 695—734 polskiego tłumaczenia geografii Guthego. Warszawa. Nakład Maurycego Orgelbrandta 1875.*)

Zbierając sobie zapiski i wypiski do niektórych części gór karpackich, zajrzałem także do tłumaczenia geografji H. Guthego, zwabiony umieszczonym na karcie tytułowej dodatkiem: „Pomnożony oryginalną pracą odnoszącą się do wschodniej Słowiańszczyzny.“ Jakoż przeczytawszy część tego dodatku od str. 695—734, przekonałem się, że opracowanie tych ustępów jest w samej rzeczy oryginalnem. Na czem zaś polega ta oryginalność, wypada snać już dlatego wykazać, iż wydawca w przedmowie na str. IV powiedział, że „część specyalną geografii, przetłumaczoną przez p. Józefa Wilkowskiego, który według źródeł polskich, rossyjskich opracował geografją Słowiańszczyzny wschodniej, przejrzał p. Witold Wróblewski, nauczyciel szkoły realnej w Warszawie, który nadto licznemi przypisami doprowadził wiadomości geograficzne do ostatniej chwili według najnowszych sprawozdań i pism geograficznych.“ Źródeł, z których korzystał p. Wilkowski, nie podano ani w przedmowie ani w dotyczących miejscach. Sposób, w jaki z nich korzystano, trudny do pogodzenia z zapowiedzianą tej pracy oryginalnością, uczynił ich przytaczanie niepotrzebnem a snać nawet niemożliwem. Ogólnikowo wspominano wprawdzie w przedmowie na str. II o pracach Pola i Tatomira, dodano jednak, że „mają charakter monograficzny i nie dla każdego dostępny,“ z czego zdawałoby się wynikać, że z prac tych dwu pisarzy nie korzystano: jedynie co do terminologji przyznali się pp. tłumacze, że „istotną pomoc znaleźli w znakomitych pracach Pola do geografii krajowej odnoszących się.“

Przypuszczam tedy, iż szanowni autorowie onej oryginalnej pracy, którą wzbogacili polskie tłumaczenie geografji Guthego, nie wezmą mi za złe, iż tutaj dopełnię, czego oni uczynić zaniechali, to jest, iż podam źródła, z których od str. 695—734 przeważnie korzystali.

Głównem źródłem była „Geografia ogólna i statystyka ziem dawnej Polski, ułożona przez Lucyana Tatomira. W Krakowie 1868.“ Nie wspomniano o niem nigdzie ani słówkiem, niezawodnie dla tego, iż „ma charakter monograficzny i nie dla każdego dostępny“. Jedynie na str. 723 położywszy „Bug z Narwią“ zamiast „Narew z Bugiem“ jak ma Tatomir, Wr. (Wróblewski) oświadczył w przypisku (3): „Trzymamy sie w tem zdania Guthego“, i to zupełnie zgodnie z prawdą, bo na 30 okładem stronicach trzymał się szanowny tłumacz Guthego nietylko zdania ale i słów Geografii ogólnej Tatomira, jak to niżej zobaczymy. Na dwóch jednak miejscach na str. 704 i 720, po cztery wyrazy, więc razem ośm, umieszczono między cudzysłowami na znak, że te ośm wyrazów skądsiś pożyczono. Inne poboczne źródła podano tu i owdzie w przypiskach. Na tem wskazaniu ogólnikowem mógłbym poprzestać, bo że tu i owdzie zmieniono wyraz, inny lub nawet całe zdanie opuszczono, to sprawy w ogóle nie zmienia. Gdy atoli szczegółowe porównanie textu oryginalnego z zamieszczonym w tłumaczeniu geografji Guthego może nastręczyć sposobność do uwag dotyczących przedmiotu samego, podejmę się tej wcale nie ponętnej roboty.

Str. 695 (tłumaczenia Guthego) wiersz 10—33 zgadza się dosłownie z Tatomira Geogr. ogólną str. 13 w. 19 do końca i str. 14, 1—14. Zastąpiono jedynie (tutaj i dalej prawie wszędze*) przez Tatomira używany wyraz „płaskowyż“ (plateau) lepszym „płaskowzgórze“, zamiast „baltycki“ położono wszędzie poprawniejszą tego wyrazu postać „bałtycki“; w. 21 położono „strąca się (pasmo pagórków)“ zamiast „skręca się“ (poprawniej zwraca się, Tat. 13, 31); w dwu zdaniach (695, 26 i 27 = Tat. 14, 1 i 2, tudzież 695, 32 i 33 = Tat. 14, 7 i 8) zmieniono nieco porządek wyrazów; w. 33 położono „Pojeziorze“ zamiast „Pojezierze“ (Tat. 14, 8.)

Str. 696 od w. 24 do końca, str. 697 cała i 698 również cała krom dwu ostatnich wierszów równa się niemal dosłownie Tat. str. 14 w. 2 do str. 17 w. 2. Zmiany uczynione w texcie pierwotnym są następujące. Na str. 697 do-

*) Na str. 705 i indziej pozostawiono wyraz „płaskowyż“.

dano dwuwierszowe zdanie (w. 3 i 4); zamiast „Strychujące od północy płaskowyż Czarnomorski pasma“ (Tat. 15, 7) położono w. 18: „Ograniczające od północy płaskowzgórze Czarnomorskie pasma“; opuszczono nazwę „wyżyny środkowej“ (Tat. 15, 30 i 32). — Na str. 698, 3 położono „równin sarmackich“ zamiast „ziem polskich“ (Tat. 15, 37); w 4 „najwyższe w dzisiejszem królestwie Polskiem“ zam. „najwyższe ze wszystkich pasm i grup sąsiednich“ (Tat. 16, 1); w. 16 „Pojedyncze pasma“ zam. „Poboczne pasma“ (Tat. 16, 14), co zmienia myśl; w. 23 „Zamkowa góra pod Chęcinami wzbija się do 358 m.“ zam. „Zamkowa góra koło Chęcin liczy 1135' (Tat. 16, 21); w. 28 „pochyły (wał)“ zam. „połogi“ (Tat. 16, 28), co zmienia, a raczej popsuje myśl pierwotną.

Str. 699 w. 18 do końca stronicy. Ustęp ten złatano z zdań pobranych częścią z Pola Północnych stoków Karpat str. 10 w. 12 i następ., a po części z Tatomira Geografii fizycznej str. 10 i 11.

Str. 700, 701, 702, 703, 704, 705, 706 i 707 po wiersz 5 zgadzają się z małemi zmianami dosłownie z Tatomira str. 5 w. 23 do str. 12 w. 30. Zmiany, których tutaj text Tatomira doznał przy przeniesieniu do Guthego, są następujące: Str. 700 w. 7 „opuszczono“ gałęzi i gniazd tychże gór (Tat. 5, 30); w. 14 opuszczono „poczynający się u przecznicy Zdjarskiej“ (Tat. 6, 4); w. 16 położono „rozdzielają“ i „pochyłych“ (płaskowzgórzy, poprawniej płaskowzgórz) zamiast „rozdzieliły“ i „połogich“ (Tat. 6, 6); w. 17 „wysokość“ zam. „wyniosłość“ (Tat. w. 6); w 23 „otoczyły“ zam. „snuły do koła“ (Tat. w. 13); w 26 „Tatry“ zam. „Fatry“ (Tat. w. 16), nie wiem, czy przez grubą niewiadomość rzeczy czy przez pomyłkę drukarską; w. 33 dodano „albo wysokiemi Tatrami, Hohe Tatra“ z odwołaniem się do monografii Korzistki o Tatrach, jakoby ta była jedyną, najznakomitszą i ostatnią pracą o Tatrach, obok której nie potrzeba już nic wiedzieć o wszystkich innych. — Str. 701 w. 4 położono „dokąd“ zam. „jak długo“ (Tat. 6, 30), czem błędu nie poprawiono, należało powiedzieć „dopóki;“ w. 6 z ustępu „tylko zachodnia, niższa i węższa ich część, w książkowej terminologii zwana przedgórzem alpejskiej krainy Tatrów leżała w Węgrzech“ (Tat. 6, 31) pozostawiono „tylko ich zachodnia i węższa część leżała w Węgrzech“, jakoby środkowa i zachodnia część Tatr nie była istotnie niższą od wschodniej; w. 12 „wyskoczyły“ zam. „strzeliły“ (Tat. 7, 3); w wierszu ostatnim tej stronicy „szczyty, cypliska“ zam. „gronie, czubałki“ (Tat. 7, 9), poprawka o tyle dobra, gdyż gronie a turnie są dwa różne pojęcia. Str. 702 w. 3 poprawiono usterek językowy Tat. 7, 12 opuszczeniem przyimka „Do“; w. 10 opuszczono zdanie Tat. 7, 20 i 21, które przy tak nieskromnem przyswajaniu sobie obcej pracy przez szanowych profesorów sandomierskiego i warszawskiego mogło pozostać; w. 16 „wybiegły“ zam. „wystrzeliły“ (Tat. 7, 29); tamże „Gerlachowicki“ (szczyt) zam. „Gerlachowska“ (iglica) jest błąd świadczący o nieznajomości przedmiotu, albowiem szczyt ten wziął nazwę od położonej u stóp jego wsi Gierlachowa (Gerlsdorf) a nie Gierlachowic; w. 20 „nieprzerwany“ zam. „nieprzejrzany“ (las mniej wyniosłych Turni, Tat. 9, 32), zmiana dowolna, a wcale nie odpowiadająca istocie rzeczy. Str. 703 w. 8 „przez górali“ zam. „przez Podhalan“ (Tat. 8, 7), poprawka zupełnie taka sama, jak gdyby kto zamiast Czech, Morawiak, Szlązak, Polak, Rusin, Słowak itd. kładł wszędzie wyraz Słowianin; Podhalanie są góralami, wszakże ztąd nie wynika, ażeby wszyscy górale mieli coś wiedzieć o stawach tatrzańskich w ogóle, a w szczególności o Morskiem Oku; w. 17 opuszczono „w wyższej części doliny Roztoki“ (Tat. 8, 17); podaną u Tatomira w w. 26 głębokość Morskiego Oka wraz z w. 31 przeniósł p. Wr. (Wróblewski) do przypisku (2) i podał jako swoje uzupełnienie.

(C. d. n.)

Dr. E. Janota.

Ze świata muzycznego.

Jesteśmy już na początku stycznia, a oprócz kwartetu damskiego Szwedek nikt z przejeżdżających gości nie był jeszcze na nas łaskaw; krążące pogłoski o przybyciu skrzypka Joahima i pianistki p. Essipoff jakoś ucichły, i pozostajemy w tym samym braku lepszych koncertów, któreby mogły więcej zainteresować tutejsze muzykalne koła. Słyszeliśmy wprawdzie panią Albertini-Janiszewską, primadonnę opery włoskiej, występującą d. 9. grudnia w teatrze, ale niestety... albo myśmy się na niej nie poznali — albo, co więcej do prawdy podobne, sama koncertantka obierając sobie zawód primadonny i to Opery włoskiej nie poznała się na własnym talencie.

Tak więc od początku sezonu aż po dziś dzień Lwów opływał w same prywatne wieczorki muzykalne, urządzane bądź w czytelni Akademickiej, mieszczańskiem Kasynie, lub też Kółku handlowem.

Towarzystwo muzyczne, którego obowiązkiem jest dać pierwszy impuls do obudzenia artystycznego życia, zajęte opracowaniem nowych regulaminów i zaprowadzeniem wielu ulepszeń w swej organizacji, dopiero d. 12. i 19. wystąpiło ze swemi koncertami. Pierwszy z nich dany na ubogich miasta świecił pustkami w sali, drugi zaś (a ten jest 1ym z czterech dorocznie obowiązkowych dla członków) był przepełniony.

Z programu koncertu na ubogich zasługuje na uwagę staranne wykonanie serenady Volkmanna na instrumenta smyczkowe i część koncertu K. Lipińskiego na skrzypce, którą p. Brukmann sumiennie wykonał.

Opóźnienie swych występów Towarzystwo muzyczne nagrodziło programem koncertu dla członków, jakiego od dawna sobie nie przypominamy; Haydn, Cherubini, Beethoven i Händel wprowadziwszy liczny zastęp orkiestry i chórów tak zajęli estradę, że na fortepjan już miejsca nie stało; pierwszy to raz podobno od niepamiętnych czasów fortepjan liczył tylko... same pauzy.

Wykonano symfonię (D-dur) Haydena, w którą p. Mikuli zdaje się włożył całą swoją dyrektorską pracę, bo o ile z tutejszych sił muzykalnych wydobyć było można, wszystko było, i nic nie pozostało do życzenia, i jeżeli z aplaudowanych z całą szczerością wszystkich ustępów symfonji najwięcej podobał się *mennuet*, to już zdaje się dla tego, że sam przez się jest najpiękniejszym. Tercet Cherubiniego z opery „Woziwoda“ wymagał jeszcze najmniej jednej próby. Idilla na flet z towarzyszeniem 4 waltorni Dopplera, jest utworem popisowym i nadzwyczaj trudnym — wykonana jednakże została po mistrzowsku i z wielkiem powodzeniem przez utalentowanego i znanego u nas amatora-artystę p. Cetw.

Koncert ten zakończyły dwa chóry na głosy mięszane z towarzyszeniem orkiestry: Marsz uroczysty z „Ruin Aten“ Beethovena i „Alleluja“ z oratorjum Mesjasz Händla. Trudno powiedzieć, który z nich wyżej stoi i większe po sobie zostawia wrażenie, bo każdy jest arcydziełem w swoim rodzaju. Z radością tylko zauważaliśmy powiększoną liczbę chętnie współdziałających osób, i to nam pozwala spodziewać się, że nieustający w swej pracy dyrektor zużyć te siły korzystnie i na dal nie zaniedba.

Walery Wosocki.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— W Ameryce. Powieść na tle życia społecznego w Stanach Zjednoczonych przez Krystynę Narbuttównę. Warszawa. Gebethner — 1875.

Powieść niniejsza jest charakterystyką stosunków i toku życia mieszkańców w Stanach Zjednoczonych. W pięknem opowiadaniu podaje nam autorka wierny obraz społeczeństwa amerykańskiego, zwłaszcza życia wewnętrznego, pracy, zabiegów i nieustannych walk, które krajowcy z przybyszami i Indjanami staczać muszą. Właściwy wątek opowiadania powieściowego jest tu na drugim planie. Autorce chodziło wyłącznie oto, aby czytelnikowi podać w lekkim zarysie naszkicowany obrazek awanturniczego życia Amerykanów, ich postępowej cywilizacji i skutków tej zachwalanej wolności, która obok jenialnych myśli i herkulesowych czynów, rodzi także nieszczęśliwe chwile w dziejowem rozwoju państwa. Powieść gładkim stylem napisana budzi dość wielkie zajęcie.

— Zwyczaje towarzyskie (*le savoir-vivre*) w ważniejszych okolicznościach życia przyjęte. — Kraków— nakładem J. Wildta — 1876.

Książka to dobrze i praktycznie napisana, a dla bardzo wielu osób, zwłaszcza mieszkających na prowincji, i nie obeznanych z towarzyskiemi zwyczajami, jest podręcznikiem prawie niezbędnym.

Nowości

podawane przez księgarnię

SEYFARTA I CZAJKOWSKIEGO

we Lwowie.

Kraszewski, Klin Klinem. Nowella, w 8ce. Warszawa 1875 Złr. 1.

Koklusz — Naturę jego i sposób leczenia opisał Józef Orkisz w 8ce, Warszawa 1875. 50 ct.

Pałac i Rudera przez Bolesława Prusa, w 8ce. Warszawa 1876. Złr. 1·50.

Hoffman, W. Obrazki z królestwa zwierząt z różnych części świata dla nauki i rozrywki młodzieży. Na polski język przełożył Leon Antoniewicz z 6 kolorowanemi stalorytami. Brody 1876. Złr 1.

Buszczyński, Stefan: Ameryka i Europa. Studjum historyczne i finansowe z krytycznym na sprawy społeczne poglądem, w dużej 8ce. Kraków 1876 Złr. 5.

Kalendarz Rolników Szląskich na rok 1876. Cieszyn 1876 36 ct.

El..y. Poezje 2ty. Nowe wydanie 2ty. Lwów 1876 Zł. 4·20

Przewodnik dla Leśniczych. Zbiór wiadomości z gospodarstwa lasowego i odnośnych nauk pomocniczych dla użytku właścicieli lasów pomniejszych, leśniczych i kandytatów leśnictwa. Część I w 8ce. str. 169. Lwów 1876. Cena za 2 części. Zł. 3·20.

Turkawski M. A. Spicimir herbu Leliwa, Kasztelan krakowski, założyciel Tarnowa i Melsztynu. Monografia historyczna, w 8ce. Lwów 1876, 60 ct.

Liske Dr. Ksawery, Zjazd w Poznaniu z roku 1510 w 8ce str. 161. Lwów 1875 Zł. 1·50.

Raynald F. E. Rozbitki albo dwudziesto-miesięczny pobyt na wyspach Auklandzkich z 19 rycinami w 8ce Warszawa 1876 Złr. 3.

Zwyczaje Towarzyskie (Le sovoir-vivre) w ważniejszych okolicznościach życia przyjęte. Według dzieł francuskich spisane, w 8ce. Kraków 1876 Zł. 1.

Dzieła niemieckie.

Weber, Dr. G. Lehrbuch der Weltgeschichte mit besonderer Rücksicht auf Cultus, Literatur und Religionsvesen 2 Bd. in gross 8. Leipzig 1876 fl. 8·70

Pfeil H. Tonkünsler — Merkbüchlein in 8. Leipzig 1875. 90 kr.

Grüner, Geheimnisse d. französischen „Causerie“ deutsch franz. Nachschlagebuch über 20.000 in traulicher sowohl als witziger Redeweise jeden Augenblick vorkommenden Ausdrücke, in 8. Wien 1876 fl. 6.

Junck, Karl: Der deutsch französische Krieg 1870—71 historisch, politisch und kriegswissenschaftlich dargestellt in gr. 8. 2 Bd. Leipzig fl. 9·60.

Pfaff, Dr. F. Grundriss der Geologie mit 345 figuren in Holzschnitt in 8. Leipzig 1876. fl. 4·80.

Groth, P. Physikalische Krystallographie und Einleitung in die Krystallographische Kenntniss der wichtigeren Substanzen mit 557 Holzschnitten in 8. Leipzig 1876. fl. 9·60

Meyerhofer, E. Handbuch für den politischen Vervaltungsdienst in den im Reichsrathe vertretenen Königsreichen und Ländern. des II Bd. 1 Theil in gr. 8. Wien 1876. fl. 4.

Dzieła francuskie.

Radau, R. Le Magnétisme. Ouvrage illustré de 104 gravures, 8. Paris 1875 Zł. 1·35

Moitessier, L'Air. Ouvrage illustré de 93 gravures in 8. Paris 1875. Zł. 1·35

Lasteyrie. F. Histoire de l'Orfévrerie depuis les temps les plus reculés jusqu, à nos jours, illustré de 62 gravures. 8. Paris 1875 Zł. 1·35

Tissot, Victor. Voyage au pays des Milliards, in 8. Paris 1875 Zł. 2·40.

Taine, H. Les Origines de la France contemporaine. I. Jol. L'ancien régime in 8. 551 pages Paris 1876 Zł. 4·50

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Pierwszy tom dzieł Teod. Tom. Jeża (Zygmunta Miłkowskiego) opuścił już prasę. Zawiera on przeszło 400 stronic ścisłego druku, w formacie dużej 8ki, i obejmuje prócz przedmowy autora dwie obszerne powieści: „Handzia Zahornicka“ i „Szandor Kowacz.“ Ta druga jest prześlicznie osnuta na tle kampanji węgierskiej z r. 1848. Ponieważ powieści Jeża mało są u nas znane, przeto poczuwamy się do obowiązku upewnić naszych Czytelników, że ktokolwiek weźmie je w rękę, odczyta wszystkie z przyjemnością i pożytkiem. — Wydanie całe jest bardzo piękne, i jak dla naszych prenumeratorów niesłychanie tanie, gdyż za tom płacą tylko 1 zł. 50 ct. we Lwowie, a 1 zł. 60 ct. z przesyłką na prowincję. Ekspedycja I tomu już rozpoczęta. Tomy wychodzą w odstępach kwartalnych. Następny opuści prasę d. 15. kwietnia r. b.

— *Magazin für die Literatur des Auslandes,* pismo fachowe, wychodzące w Berlinie, umieściło w numerze 1 z rb. obszerny artykuł o zbiorowem wydaniu dzieł J. Dzierzkowskiego, a pisząc przy tem o *Tygodniu,* którego redakcja dokonała tego wydawnictwa, nazywa „*Tydzień“ ein treffliches Lemberger Wochenblatt.* Uznaliśmy za potrzebne przytoczyć te słowa z pisma zagranicznego, aby przy tej sposobności zwrócić uwagę naszej publiczności na zawiść panującą w dziennikarstwie galicyjskiem. Prócz *Dziennika Polskiego* i *Gazety Narodowej,* żadne z pism krajowych nie wspomniało nawet o *Tygodniu,* który przecież drugi rok wychodzi, a korespondenci lwowscy do dzienników warszawskich radziby nam nawet przypinać łatki, gdyby tylko mogli! Nie staraliśmy się nigdy o reklamę, mimo nam niechętnych potrafimy się przebić, i choćby najgorsze czasy nadeszły, będziemy pewnie ostatni, którzy zejdą z pola walki — ale z tem wszystkiem mamy prawo żądać, aby praca uczciwa tak była sądzona jak to zasługuje.

— Redakcję pisma fachowego „Szkoła“, które we Lwowie wychodzi, objął od Nowego roku znany pisarz, p. Lucjan Tatomir. Poprzednikiem jego był p. Z. Samolewicz, który dla braku czasu nie mógł się dłużej redakcją zajmować. Jesteśmy pewni, że pożyteczne to wydawnictwo pod redakcją p. Ł. Tatomira, nie tylko nie straci na swojej wartości dotychczasowej, ale coraz pomyślniej będzie się rozwijać.

— Podczas losowania w lwowskiem Tow. przyjaciół Sztuk pięknych, wygrały następujące osoby: Aleks. Balko we Lwowie, obraz Sidorowicza „Widok wieczorny,“ wartości 100 zlr.; Stanisław Markiewicz we Lwowie, obraz Szermentowskiego „Przechadzka po parku,“ wartość 100 zlr.; Eug. Pfeiffer we Lwowie, akwarellę Karola Młodnickiego „Wójt,“ wartość 50 zł.; Towarzystwo Sztuk pięknych w Dreznie akwarellę Ludwika Łepkowskiego „Chłop z okolicy Krakowa,“ wartość 20 zł.; Julian Kołaczkowski we Lwowie, akwarellą Kossaka „Czarnecki,“ wartość 250 zł.; Józef Wisłocki w Czerniowcach, obraz Teofila Kopertyńskiego „Bujko,“ wartość 50 zł.; Karol Prociński we Lwowie, obraz Alfreda Kowalskiego „Transport rannych,“ wartość 350 zł.; Zygmunt Garzycki w Suczawie. obraz Wład. Łosia „Na jarmarku,“ wartość 200 zł.; Feliks Piątkowski we Lwowie, obraz Wojciecha Grabowskiego „Tułacze,“ wartość 100 zł.; Edward Machajski we Lwowie, Juliusza Słowackiego popiersie w medaljonie Tadeusza Wiśniowieckiego, wartość 150 zł.

— Planów na budowę dla Sejmu galicyjskiego przyszło już bardzo wiele. W przyszłym numerze więcej o nich napiszemy.

— Henryk Rochefort przygotował do druku dzieło o nowej Kaledonji.

— Dnia 19 listopada r. 1875 wzniesiono na Islandji, w mieście Reykjawik, posąg Torwaldsenowi. Uroczystość, jak na to miasteczko, była bardzo wspaniała.

— Czas, w którym mogą być wysłane dzieła sztuki na tegoroczną wystawę monachijską, został przedłużony do 15 lutego.

— Malarz francuski, Meissonier, skończył wielki obraz, przedstawiający szarżę kawalerji w przytomności Napoleona I w bitwie pod Friedland, w r. 1807. Obraz ten jest przeznaczony dla wystawy w Filadelfji. Co do rozmiarów, jest to największe dzieło tego artysty. Rysunek ma być wspaniały, z wyjątkiem samej figury Napoleona, która nie dość imponująco występuje. Meissonier chce sprzedać ten utwor za bagatelkę, bo za 400.000 franków!

— Posąg Napoleona I., który d. 16 maja r. 1871 został zrzucony z kolumny Vendome w Paryżu, jest już całkiem naprawiony. Trudnego tego zadania dokonali po pracy pięciomiesięcznej artyści Penelli i Charnard.

Podróże.

— Porucznik Cameron, który w środkowej Afryce spotkał zwłoki Livingstona, a następnie rozpoczął badania w częściach niezwidzonych jeszcze przez zmarłego podróżnika, stanął d. 19 listopada r. z. w Loanda, u ujścia Congo. Cameron wyruszył w maju r. 1874 ze swoją ekspedycją z Udszidszi, w kierunku zachodnim, i stanął w Loanda z 57 towarzyszami. Przedsięwzięcie wypadło bardzo pomyślnie. Cameron jest pierwszym, który Afrykę środkową przeszedł całą od wschodnich do zachodnich brzegów.

Odkrycia.

— W Nowej Gwinei, misjonarz M' Parlane odkrył wielki strumień, który na przestrzeni 60 mil jest spławnym, i unieść może statki objętości 500 ton. Misjonarz nazwał tę rzekę Baxter-River.

— W pobliżu Bregenz, rzymskiego Brigantium rozpoczęto ubiegłego lata poszukiwania za zabytkami starożytności, i przy tej sposobności odkopano fasadę budynku, długą 106 stóp. W ciągu rb. odkopywanie będzie dalej prowadzone kosztem miejscowego muzeum.

— W Krasny, w guberni Kieleckiej odkrył inżynier Barczewski węgiel i o nim zdaje sprawę do *Gazety Kieleckiej.* Pisze on, iż w październiku naznaczył dwa małe szyby na przestrzeni, która mu wskazywała węgiel na mocy zbadania geologicznego. W niespełna jednym miesiącu odkrył ośm pokładów leżących jeden pod drugim. Dwa tylko z nich zasługują na podjęcie robót, jeden pokład ma grubości 34 cali, drugi $2^1/_4$ łokci. Węgiel jest dobry z gatunku suchego z długim płomieniem, nadający się do fabryk żelaznych, pieców i hut, pod kotły machin parowych i na opał.

— Angielskie fachowe medyczne pismo *Lancet* donosi: „Niemiecki egiptolog Ebers zrobił niedawno ciekawe odkrycie, znalazł bowiem część mianych za zaginione ksiąg Hermesa o medycynie. Dotychczas wszystkie usiłowania wyśledzenia początku i istnienia t. zw. pism Hermetycznych były płonne i przyjmowano, że wielki Herbes jest postacią mityczną, wymyśloną przez średniowiecznych alchemistów. Manuskrypt, o którym była mowa, znalazł przed kilku laty pewien Arab przy mumji. Po śmierci tego Araba kupił manuskrypt od jego rodziny p. Ebers. Rękopis składa się z jednego listka papirusa, długiego 60 stóp i pisany jest czerwoną i czarną farbą. Sądząc z charakteru pisma daty tego manuskryptu odnieść trzeba do r. 1500 przed Chr. — liczy on więc lat przeszło 3300, a jeżeli był pisarz w początku 15go stulecia przed Chr. byłby równoczesnym z pobytem Mojżesza na dworze Faraona. Dr. Ebers przetłumaczył dotychczas część manuskryptu.

Statystyka.

— *Reichs-Anzeiger* niemiecki podając niektóre rezultaty ostatniego (z dnia 1. grudnia) obliczenia ludności, porównywa je nakoniec z liczbami odnoszącemi się do ruchu ludności we Francji. Oto co czytamy: „Cesarstwo niemieckie liczy obecnie 32 miasta z liczbą mieszkańców przeszło 50.000, razem zaś przedstawiające w okrągłej liczbie 4,400.000 mieszkańców. Z tych przypada na 13 miast po więcej niż 100.000 mieszkańców (Berlin z otoczeniem ma 1, 000.000, Hamburg z Altoną 350.000 Wrocław 240.000, Drezno 196.000, Monachium 190.000, Elberfeld z Barmen 160.000, Kolonia 131.000, Hanower 129.000, Lipsk 126.000, Magdeburg 120.000, Królewiec 119.000, Stuttgart 107,000, Frankfurt n. M. 103.000, razem 3 miljony). Na drugie 19 miast mających po więcej niż 50.000 (to jest Gdańsk, Szczecin, Bremę, Strasburg, Norymbergię, Akwizgran, Düsseldorf, Krefeld, Kamienicę Halę, Kasael, Brunświk, Poznań, Milhuzę Metz, Moguncję, Augsburg, Essen, Dortmund), przypada razem 1,400.000 mieszkańców. Ogólna przeto suma mieszkańców w 32 miastach mających po więcej niż 50.000 wynosi dziesiątą część całej ludności cesarstwa. Cofnijmy się o 60 lat wstecz, gdy Niemcy miały jedno tylko miasto z mniej więcej 200.000 mieszkańcami (t. j. Berlin), jedno z 80.000 i dwa z 50.000, a otrzymamy liczbę niespełna 500.000, tak że wówczas stolica Francji licząca 1 milion, miała więcej mieszkańców niż wszystkie razem miasta niemieckie, liczące po więcej niż 50.000 mieszkańców. Dziś liczba ogólna mieszkańców tej ategorji miast niemieckich równna się mniej więcej ogólnej liczbie mieszkańców miast francuskich tejże kategorji. Francja wedle spisuludności z r. 1872, ma 25 miast z liczbą mieszkańców po więcej niż 50 tysięcy. które razem przedstawiają liczbę przeszło 4 i pół miljona; z tych jest 9 miast mających po więcej niż 100 000 mieszkańców t. j. Paryż, Lugdun, Marsylia, Bordeaux, Lille, Tuluza, Nantes, Rouen i St. Etienne. które razem mają 3 i pół miliona. Zresztą Francja miała w r. 1815, jak wiadomo, 30 miljonów mieszkańców, podczas gdy Niemcy pozaaustrjackie miały wówczas tylko 22 miljony; a więc w Niemczech ludność niemal się podwoiła, Francji zaś przybyło ludności tylko o jedną piątą część.

Gospodarstwo.

— Pani Marja Jasińska, żona prezydenta miasta Lwowa, powzięła szczęśliwą myśl urządzenia we Lwowie taniej kuchni ludowej, w którejby biedacy mogli znaleźć w tej ciężkiej zimie tanie pożywienie. Na czele komitetu, który się w tym celu zawiązał, stanęła hr. Alfredowa Potocka, a 13 pań rozpoczęło już kwestę po mieście. Szczęść Boże!

Komunikacje.

— Z nowym rokiem przystępuje Francja do powszechnego traktatu pocztowego w Bernie zawartego. W skutku tego następuje od nowego roku znaczne zniżenie opłat pocztowych w korespondencji między Austrją a Francją. I tak, list pojedynczy, dotąd 10 gramów ważący, może ważyć 15 gramów; opłata listu z Austrji do Francji frankowanego wynosić będzie zamiast dotychczasowych 25 ct. tylko 10 ct.; list niefrankowany z Francji do Austrji zamiast 32 ct. 20 ct.: a karta korespondencyjna zamiast 15 ct. 5 ct.; nakoniec przesyłki pod opaską i próbki towarów z 6 ct. schodzą na 3 ct. aż do 50 gramów. Z tego powodu następuje zniżenie również ceny przesyłki dzienników.

Zjawisko natury.

— Wielkie trzęsienie ziemi nawidziło wyspę Portorico. Miasto Arecivo zostało prawie całkiem zburzone. Ostały się tylko kościoł i sześć domów.

ROZMAITOŚCI.

— W jednym z dzienników angielskich znajduje się następujące, ciekawe opowiadanie, pt. „Z zapisków marynarza“ które tutaj dla żywości wielkiej zawartych w niem szczegółów powtarzamy. — „Okręt nasz, „Entreprise“ stał otoczony lodami pod 78 stopniem szerokości północnej w pobliżu ujścia Cadogan Bayu. Na chwilę skazani byliśmy na zupełną nieruchomość, mając jednak wszelką nadzieję, że zmiana wiatru wyzwoli nas z tej krytycznej sytuacji jeszcze przed nadejściem pory zimowej. Tymczasem jednak ta przymusowa bezczynność niezmiernie nam ciężyła. To też z prawdziwą radością powitaliśmy pewnego dnia dwóch Eskimosów, przybywających do nas w sankach zaprzężonych psami. Dwaj

ci przysadkowaci tuziemcy zdaleka już znakami objawiali przychylne dla nas usposobienie i zapraszali wyraźnie, ażeby przepłynąć do nich na łodzi przez maleńką przestrzeń wody, która nas dzieliła. Chętni temu wezwaniu, kapitan Rose i ja pospieszyliśmy do nich z małemi podarkami. Jeden z Eskimosów nazywał się Johnny, i rozumiał nieco po angielsku, nie tylko więc nas uspokoił, że maleńka cieśnina, w której staliśmy, nigdy całkiem nie zamarza, i że nasz okręt wkrótce odzyska swobodę, ale co więcej zaprosił nas do chat, zamieszkałych przez rodzinę jego i jego towarzysza. Wedle opisu, miały te chaty znajdować się w małem oddaleniu w stronie południowej, nad wielką, wolną zatoką. Johnny i Kuwak, tak nazywał się drugi Eskimos, nieraz już mieli stosunki z żeglarzami podbiegunowymi i wielorybnikami, to też posiadali noże, siekiery i inne narzędzia amerykańskiego wyrobu. Ponieważ już tego dnia było zapóźno korzystać z ich zaproszenia, umówiłem się tedy z nimi za pozwoleniem kapitana na dzień następny, że ich odwidzę. Nazajutrz istotnie Johnny dotrzymał słowa i przybył z trzema saniami, w psy zaprzężonemi. Towarzysz mój, Leonard der Maat, sternik nazwiskiem Fonal i ja wsiedliśmy w sanie, i po dwóch godzinach dotarliśmy do owej cieśniny, na której brzegu leżało kilkanaście chat eskimoskich, kopcowatego kształtu, zbudowanych z ogromnych, nieociosanych głazów. Dwie z nich tylko były zamieszkałe i mieściły w sobie około dwudziestu osób różnej płci i wieku, należących do pięciu rodzin, reszty niegdyś silnego plemienia, zdziesiątkowanego chorobami, ostrością klimatu i głodem. Przyjęci jak najserdeczniej i ze wzruszającą prawdziwie u tych napół dzikich ludzi gościnnością, zawiązaliśmy z nimi przyjacielskie stosunki. Do ułatwienia tychże przyczyniła się jeszcze i ta okoliczność, że wpadliśmy na myśl osadzenia jednej z naszych wielkich łodzi na saniach, i dowiozłszy ją tym sposobem do wielkiej cieśniny, nad którą stały chaty Eskimosów, mieliśmy pod ręką statek, pozwalający nam swobodniej i bezpieczniej pływać po wodach zatoki, niżeśmy to dotąd na łodziach eskimoskich, ze skór foki, czynić mogli. Pewnego dnia w takiej przejażdżce, zapędziliśmy się bardzo daleko, pomiędzy szorującemi ostro krami i mijając jednę z nich, olbrzymiej wielkości, spostrzegliśmy leżące na niej jakieś wielkie postacie, na których widok nieodstępujący nas Johnny wpadł w najwyższe uniesienie, do jakiego Eskimos może być zdolny. „Awak! awak!" zaczął krzyczeć, i rzucając się jak szalony, wskazywał abyśmy podpłynęli do kry i wysadzili go na nią. W danej chwili, nie było to możebnem, bo kra miała poszarpane i nader ostre brzegi. Johnny zdawał się wielce zmartwionym, a ja wpatrując się uważniej, poznałem że owe stworzenia na krze były to konie morskie, owe z fokami spokrewnione potwory mórz podbiegunowych, zwane przez przyrodników „Trichecus Rosmarus." Długość każdego z nich wynosiła od 12 do 15 stóp. Eskimosi, lubujący się szczególniej w mięsie zwierząt tego gatunku, nazywają je „Awak" i polują na nie z niezmiernym zapałem. Johnny przyobiecał nam słowami i mimiką urządzić łowy na te zwierzęta, na lądzie tak niezgrabne i bezradne, ale w wodzie za to tem ruchliwsze i niebezpieczniejsze. Wkrótce Johnny i starszy od niego drugi Eskimos, Kuwak, poprosili nas o przybicie do pewnego miejsca, kędy łatwiej było dostać się na krę. Gdyśmy tam stanęli, wdrapali się obaj Eskimosi na ląd, wzywając, abym szedł za nimi, co też natychmiast uczyniłem. Ledwośmy na równiejszą nieco przestrzeń stąpili, Johnny i Kuwak rzucili się twarzami na lód i na raczkach jęli podkradać się ku zwierzynie. Każdy z nich uzbrojony był w lancę i harpunę własnego wyrobu. Od czasu do czasu Johnny udawał głos konia morskiego, wówczas spostrzedz można było, jak niektóre z tych zwierząt podnosiły swe okrągłe głowy, i zwracały je ku naszej stronie nie ruszając się z miejsca. Podeszliśmy już do nich prawie na 250 kroków, gdy nagle zaczęły się niepokoić i powstały w widocznym zamiarze rzucenia się do wody. Ale obadwaj Eskimosi nie chcieli im dać na to czasu, i zerwawszy się na nogi pędzili ku nim co tchu, aby ugodzić choć jedno zwierzę harpuną, zanim całe stado zdąży do wody. Biegnąc zaś, obadwa udawali krzyk przestraszonego morskiego źrębięcia, dla powstrzymania chociażby jednej samicy. Ale wszystko to na nic się nie zdało. Znajdowałem się najwyżej na 80 kroków od tych olbrzymich zwierząt, gdy pierwsze z nich rzuciło się w morze. Widząc to, zatrzymałem się i strzeliłem dwakroć do arjergardy z pomyślnym skutkiem, po dwakroć bowiem słyszałem uderzającą dwułutową kulę i widziałem, że zwierzę farbowało; tyle jednak znalazło w sobie siły, że przywlokło się nad sam brzeg, skoczyło w morze i już miało zniknąć w jego nurtach, gdy Kuwak ugodził je harpuną w bok, jednocześnie rozwijając skręconą linę, do której przymocowana była harpuna. Wśród tego nadbiegł Johnny, pochwycił za koniec liny i przytwierdził go do lancy swojej, którą następnie wbił w lód z całą siłą. Ugodzony harpuną koń morski rzucał się wściekle, bił łbem i nogami jak dziki byk, aż woda zapieniła się na okół, a tymczasem reszta stada z ogromnym rykiem przestrachu obok niego pływała. Maleńkie oczki konia błyszczały najdzikszą wściekłością, a okrągła jego głowa uzbrojona dwoma straszliwemi kłami, zwracała się wciąż ku nam, stojącym na skraju kry, jak gdyby ranne zwierzę przeczuwało, że my to jego wrogami. „Strzelaj! strzelaj!" krzyknął na mnie Johnny. Posłałem więc zwierzęciu cztery strzały jeszcze, bez widocznego jednakże osłabienia go. Wreszcie udało się połączonym siłom obudwu Eskimosów przyciągnąć zwierzę, na odległość około 20 kroków do lodu, i wtedy to dopiero dwa nowe strzały i kilka ciosów lancy załatwiły jego doczesne sprawy. Byliśmy za słabi, ażeby tak olbrzymie zwierzę wciągnąć na lód, którego brzeg zresztą nie byłby także zniósł takiego ciężaru. Ale wkrótce nadpłynęło całe pokolenie i zabrało się do oprawienia „Awaka." W niespełna dwie godziny zupełnie się z nim uwinęli. Dziwiło mnie bardzo, że lance i harpuny Eskimosów, dały rady tak olbrzymiemu zwierzęciu, będąc prostej nader roboty. Wnet jednak miałem się przekonać, że te pozornie słabe narzędzia wybornie odpowiadają swemu przeznaczeniu. Zaraz bowiem nazajutrz zawiadomił mnie jeden z Eskimosów, powróciwszy z polowania na foki, że w pewnem miejscu, nie dalej jak o milę morską od osady, spoczywa wielkie stado koni morskich i na lodzie się tarza. Bez namysłu spuściliśmy łódź naszą i wziąwszy z sobą owego Eskimosa, oraz Johnny i Kuwaka, popłynęliśmy ku wskazanemu punktowi. Gdyśmy się zbliżyli do stada, Johnny i dwaj inni Eskimosi popróbowali jak pierwszy raz na czworakach podejść zwierzynę, naśladując jej okrzyk i istotnie udało im się zahaczyć harpuną jedno zwierzę. Reszta zaś stada umknęła i przeszła tak blisko naszej łodzi, że nie mogłem się oprzeć pokusie pościgu. Moi ludzie nacisnęli z całą siłą na wiosła — a ja z najlepszą z harpun naszych, gotową do pocisku w ręku, stanąłem na przodzie. Gdyśmy się dostatecznie przybliżyli rzuciłem harpuną w starego, silnego samca i to tak potężnie, że żelazo zatonęło może na trzy stopy w ciele zwierzęcia, a ból wydarł zeń straszliwy ryk, połączony z rozpaczliwem miotaniem się. W tej chwili jednak pozornie zwycięzkiej, zdarzył się zwrot, który mnie przekonał o prawdziwości gadek marynarskich w kwestji odwagi i dzikości morskiego konia. Na pierwszy bowiem głęboki odgłos boleści swego towarzysza, całe stado wstrzymało się, i ze straszliwym rykiem otoczyło łódź naszą. Całe morze w około nas roiło się temi wielkiemi, czarnemi walcowatej formy cielskami. Zdawało się, że nie ma ratunku! Literalnie trzeba było walczyć o życie; gwałtowniejszego bowiem i rozpaczliwszego natarcia, nigdy od żadnego zwierzęcia nie doznałem. Te szpetne okrągłe łby, z groźnemi kłami, z głuchym straszliwym pomrukiem, półrykiem lwa, pół byka, z napół wysuniętem z wody cielskiem, wirowały w około łodzi, uderzając na nią, probując przebić ją kłami, czepiając się za brzegi, usiłując przewrócić z pod spodu. Widowisko to najodważniejszego wstrząsnąć mogło. Gdyby nie jak największa przytomność umysłu, zimna krew i odwaga z naszej strony, łódź nasza poszłaby na drobne cząstki, a my w lodowatych falach lub pod zębami tych potworów, pewny zgon bylibyśmy znaleźli. Kule i ciosy topora są niczem przeciw tym bestjom, zaledwo potężne uderzenia wioseł i żelazem okutych drągów zdolne są ich powstrzymać, należy się jednak strzedz, ażeby tych narzędzi nie schwyciły zębami. Najdzielniejszą zaś przeciw nim bronią były owe tak nędzne pozornie eskimoskie lance. Szczęśliwy traf nas uratował. Miałem z sobą fuzję, systemu Lefaucheux, ale tylko dwanaście kul do niej, które się wnet wyczerpały. Trzeba się było uciec do śrótu. Celowałem prosto w ślepie i we łby potworom. Skutek był zadziwiający. Każdy z oślepionych koni, zanurzał się z wrzaskiem bolu i uciekał. Wkrótce całe stado dało nam za wygranę. Od tej pory jednak wyrzekłem się łowów na konie morskie i wolę lwa, tygrysa a nawet jaguara, aniżeli stado tych zwierzątek!

— W starych księgach i poradnikach lekarskich z dawnych czasów, częstokroć się spotkać można z nazwiskiem Paracelsa. Imię to w średnich wiekach otaczał nimbus respektu i pewnej zabobonnej obawy. Należało ono bowiem do jednego z najznakomitszych uczonych owych czasów. Philippus Aureolus Theophrastus Bombastus Paracelsus von Hohenheim — bo tak brzmi w całości jego miano, jest typem uczonego średnich wieków i dla tego zasługuje na opisanie. Był to wcale zdolny doktor, polihistor i jak się sam przedstawia nekromanta, czyli mistrz czarnej i białej magji. Właściwie nazywał się Höhener, ale uważając to nazwisko za zbyt proste dla tak dostojnej jak on osoby, przybrał huczniejsze i majestatyczniejsze, jak powyżej. Urodził się w r. 1493, był uczniem sławnego Trithemiusa — i przez całe życie włóczył się bez odpoczynku po Europie, Azji i Afryce. Najchętniej przebywał w austerjach i leczył tajemniczemi środkami, przenosząc mądrość starych kobiet, opartą na doświadczeniu, nad wiadomości powzięte od szkolnych uczonych. Szczęśliwe kuracje wsławiły go niezmiernie w całej Europie — i uważano go powszechnie za posiadacza tak zwanego „kamienia filozoficznego" mającego moc zamieniania najpodlejszych metalów w złoto. Zachowanie się jego szarlatańskie, napół tajemnicze, napół szalone sprawiło, iż pomówiono go nawet o związki z szatanem. Przez krótki czas był profesorem w Bazylei, ale takie tam kłótnie posiał, że go co prędzej wyprawiono. Wysokie zdolności jego kaziła i przyćmiewała niesłychana pycha i bezczelność, z jaką uderzał w pismach swoich na kolegów, nie chcących przyjąć jego nowego chemicznego systemu. Od niego to, a raczej od przesady jego stylu, wszelką nadętość nazwano „Bombastem." I tak naprzykład w jednej z ksiąg swoich, polemizując ze zwolennikami Galena i arabskimi doktorami, woła: „Powiadam wam, że rurka każdego z włosów moich wie więcej od wszystkich waszych pismaków, a podeszwy od butów moich uczeńsze są niż wasz Galen i Awicenna. Więcej doświadczyła broda moja niż wasze wszystkie szkoły. i ani wam tam powąchać, gdzie ja się karmiłem. Wy za mną, nie ja za wami, Awicenno, Galenie Rhacisie, Montagnanie, Mesuo, za mną wy od Paryża, od Montpellier, Miśnji, Kolonji, Wiednia, wysp morskich, Włoch, Hiszpanji Dalmacji; za mną Ateny, Arabjo i Izraelu, wy, za mną, nie ja za wami! Jam monarchą i mojem jest panowanie nawet nad monarchami." Uczeń jego, sługa i sekretarz, Operin, opowiada, że Paracelsus większą część pism swoich podyktował mu wieczorami w szynkowniach wiejskich i to zwyczajnie w stanie zupełnie pijanym. Nie wyda się to wcale dziwnem temu, kto zajrzy do szalonych ksiąg tego cudotwórcy. A jest ich niemało. Paracelsus bowiem był najpłodniejszym pisarzem swego czasu i pozostawił po sobie 230 dzieł filozoficznych, 46 medycznych, 12 politycznych, a 65 o nekromancji, czyli czarodziejstwie.

Odpowiedzi Redakcji.

K. w Czerniowcach. Żądane numera kosztują 70 cnt. Pojedynczych numerów nie posyłamy za zaliczką bo szkoda kosztów.

Do dzisiejszego numeru dołączamy spis rzeczy zawartych w tomie II.

Treść Nr. 2.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).